Nr. 10. Lwów, dnia 1. Października 1890. Rok XIII



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Ostatnie wspomnienia z ostatnich polskich łowów.

skreślił

Leopold hr. Starzeński.

(Dokończenie z Nr. 8.)

Gdy piszę te wspomnienia z lat ubiegłych, tej bezpowrotnie minionej, choć nie zbyt jeszcze oddalonej przeszłości, zawsze serce się ściska i łza wybiega z pod powieki. Bo gdy okiem rzucę w koło siebie, nie widzę już tego, czego szukam. Gdy myśl puszczę żeglugą w dawnych wspomnień światy, widzę na obszarze przed sobą same krzyże nad mogiłami moich dawnych towarzyszów broni. Wszyscy, wszyscy już poszli i ja sam zostałem, jak ów ostatni grenadier napoleoński z pod Watterloo. Nasz hetman Kazimierz Wodzicki najdłużej trzymał się jeszcze na posterunku, aż w roku zeszłym, pochowawszy poprzednio prawie wszystkich swoich towarzyszy, spokojnie z myśliwską buławą w ręku położył się w grobie.

Oprócz mnie, z tych, którzy do końca wiernie wytrwali przy dawnej hetmańskiej buławie, jeszcze jeden tylko pozostał. Jeden uczestnik tych dawnych łowów, ale uczestnik, który już przy końcu dopiero, jako młodzieniec wstąpił w nasze szeregi, i rycerskie zdobył ostrogi, a więc danem mu było ostatnie jeszcze tylko odbyć kampanie, ostatnie dać strzały na ostatnich polskich łowach. Jest nim mój najserdeczniejszy przyjaciel, jeden z najpierwszych myśliwych w kraju, i najmilszy towarzysz na każdem łowieckiem polu, Stanisław hr. Stadnicki z Krysowic. On zaciągnął się w nasze szeregi ostatniego roku polowania towarzystwa w Bilczu koło Medynic, gdzie resztką zdziesiątkowanej psiarni, goniliśmy za resztkami dzików po tych uroczych kniejach. Dzierżawiąc przez długie lata od fundacyi Skarbkowskiej rewiry Mikołajowskie, a przytem Turzę, Bołochów, Rachiń od kamery, zakończyliśmy polowania z ogarami w rewirze Bilcze, skąd najmilsze ze wszystkich mieliśmy wspomnienia, gdyż wywieźliśmy stamtąd 136 dzików, nie licząc wielkiej ilości innego zwierza.

Przerzedzone starych myśliwych szeregi, straty poniesione w psiarni przez ciągłe walki z grubym zwierzem, wytępienie dzików w przepolowanych przez nas kniejach, zresztą pomnażający się ciągle stan sarn, uniemożliwiający dalsze polowanie z psami, oto powody, które nakłoniły Wodzickiego do przeniesienia tego sposobu polowania na inny, odpowiadający lepiej wymogom czasu i okolicznościom i do pożegnania tych dawnych, uroczych, ale na teraz już niemożliwych łowów. Zorganizowanie towarzystwa Lisowickiego utworzyło ten przełom, psiarnia poszła w rozsypkę, konie

myśliwskie powróciły do żłobu, a my z kawalerzystów staliśmy się piechurami, i znowu w kniejach Turzy, Rachini i Bilcza, stanęliśmy jako zwykli strzelacze, w szeregach przeciętnych myśliwych galicyjskich.

Rozpisywać się o Lisowickiem towarzystwie nie jest moim zamiarem, gdyż czytelnicy znają je dokładnie z tylu opisów umieszczanych w szpaltach *Łowca*. Tę uwagę tylko uczynić muszę, że zorganizowanie wzorowe tego towarzystwa, zrekrutowanego z resztek dawnego, najpierwej w kraju zawiązanego towarzystwa łowieckiego, i z nowo zaciągniętych zastępów przeważnie znakomitych myśliwych, wielką jest zasługą ś. p. Kazimierza. Ono bowiem stało się wzorem dla tylu później powstałych myśliwskich towarzystw, których błogie oddziaływanie na zwierzostan w kraju tak widocznie się dziś okazuje. Pamiętamy dobrze te przeciwności i przykrości rozmaite, na które w pierwszych latach naszego istnienia byliśmy narażeni ze strony tej zawistnej falangi pseudomyśliwych, przeważnie takich, którzy do uczestnictwa w tych łowach przypuszczeni nie zostali, lub i tych, którzy na chwilę stanęli w szeregach, ale nie mając w swej duszy myśliwskiego znicza, zdemoralizowani chwilowem niepowodzeniem lub brakiem spotkania, obrali sobie rolę uciekinierów.

Powaga i niewzruszona stałość Wodzickiego pokonały te wszystkie piętrzące się trudności — i dziś powtórzyć to można śmiało: Towarzystwo Lisowickie stoi na świeczniku i jest wzorem dla tylu innych w kraju towarzystw myśliwskich. Oby dzisiejsze świetne wyniki polowań Lisowickich, stać się mogły wskazówką i dla zarządów lasów krajowych, dbałych o podniesienie zwierzostanu.

Oby i one, nauczone tem doświadczeniem, przyszły do przekonania, iż najodpowiedniejszym środkiem do rozmnożenia zwierzyny, teraz jeszcze zbyt rzadkiej w rządowych rewirach, byłoby niezawodnie wydzierżawianie takowych, na dłuższy przeciąg czasu znanym, dobrze firmowanym towarzystwom myśliwskim, ostro skrępowanym statutem i regulaminem, zastrzegając sobie oczywiście kontrolę nad wykonywaniem podjętych zobowiązań, ale oraz nakazując swej straży, by wszelkimi sposobami towarzystwu pospieszała z pomocą.

Ten system byłby niezawodnie najskuteczniejszą bronią i przeciw kłusownictwu, tej nieuleczalnej pladze trapiącej rządowe rewiry, a z czasem doprowadziłby w kraju całym zwierzostan do rozmiarów, którychby nam zagranica pozazdrościć mogła.

Ale powróćmy do dalszej gawędy o tych bezpowrotnie minionych czasach, o owych Bileckich lasach, dziś tak już niepodobnych do tego, czem dawniej były.

W istocie wówczas jeszcze lasy, należące do państwa Medynickiego, jakże wcale wyglądały inaczej, niż dziś wyglądają!... a osobliwie perła tych lasów, wyżwspomniany rewir Bilcze. Przeszedłszy później z rąk kamery w ręce semickich wyzyskiwaczy, zmienione są one dziś już w jakieś pustkowie, na którego widok ściska się serce myśliwego i leśnika. Niezbyt rozległy co do obszaru, liczący bowiem zaledwo kilka tysięcy morgów, i to niezbyt pięknego drzewostanu, bo niskopienne przeważały zagajniki, dziś ten rewir jest po części wykorczowany i zmieniony na pastwiska i sianożęcie, a przecież niegdyś roiły się tam dziki, sarny, lisy, cietrzewie, a i wilk nie był rzadkością. O kilku przygodach na tej klasycznej ongi ziemi łowieckiej jeszcze wspomnieć muszę.

W roku 1869 w grudniu zjechało nasze szczupłe grono do Bilcza, i jak zwykle, rozłożyło się obozem u dawnego naszego znajomego, kolonisty, pana Krebsa, gdzie w dwóch ciasnych izdebkach zamieszkali strzelcy, jak kto mógł, a służba, konie i psiarnia mieściły się po chatach innych sąsiednich kolonistów. Po jakich cenach ci potomkowie Giermanów ofiarowywali nam tę swoją gościnność, tego opisywać nie potrzebuję. Ale cóż było robić! Pod względem komfortu wiele pozostawało do życzenia, niemniej też i strona kulinarna nie byłaby z pewnością zadowoliła niejednego smakosza.

Jedliśmy bowiem tylko to, co nam żona naszego gospodarza zgotować raczyła; a te objady były do siebie codzień jakby dwie krople wody podobne, bo składały się wyłącznie z wieprzowiny z kapustą, lub dla odmiany z kapusty z wieprzowiną, ale za to co do ceny przypominały nam dokładnie objady u Sachera i aux Fréres Provenceaux.

Niezrównanym humorem obdarzony wiecznie towarzysz, ś. p. Wacław Hudetz, pobudzał zawsze nasz apetyt do tego niesmacznego jadła, powtarzając przysłowie: „Die Jäger und die Hund... fressen alles... und zu jeder Stund.“ A więc codzień upojeni wrażeniami odbytych łowów, nie narzekaliśmy na niewygody, ani na złe jedzenie, i ten lichy objad po polowaniu smakował nam lepiej, niż wyrafinowanym miejskim smakoszom wszystkie ich przysmaki, czuliśmy się zdrowi i silni, urągaliśmy śmiało władzy Eskulapa, bo te bory zastępowały nam najlepiej Marienbad, Karlsbad i Ostendę, wrażenia łowieckie silniej wstrząsały nerwami naszymi, niż wrażenia dzisiejszych pielgrzymów do Monte-Carlo i bohaterów maczka i djabełka, a w nocy... sen, wywołany dziennym trudem, spadał na nas błogi i dobroczynny, pełen uroczych marzeń, niepodobny wcale do snu wywoływanego w rozstrojonem nerwowo społeczeństwie naszem, za pomocą morfiny lub chloralu.

O wschodzie słońca termometr wskazywał 18 stopni R. Otropionych mieliśmy kilka stad dzików, a więc nikt na temperaturę już nie zważał, bo lepiej niśli wszelkie futro zapał myśliwski ogrzewa. Na stadko, najbliżej od naszej osady otropione, bo między linią Iwanową a Krwawą drogą, wypuszczono psiarnię. Na lewem skrzydle jechałem na moim dowodnym Birkucie z Wodzickim na Rudziku, a przy nas jechał na swej klaczy Karce ś. p. Bestecki, dyrektor słynnej Olejowskiej owczarni, nieodstępny dawny towarzysz przygód myśliwskich Wodzickiego, pierwszorzędny strzelec i myśliwy. Reszta towarzystwa pilnowała prawego skrzydła na przeciwległej linii. Gon psów odezwał się w miocie, i ku przeciwległemu zdawał się zdążać skrzydłu. Utwierdziły nas w tem przekonaniu strzały, któreśmy tam usłyszeli. Wodzicki rzekł do mnie: „To Hudetz strzelił! Chybił oczywiście! dziki przeszły na prawo i wszystko skończone!... bo oni ich nie dojadą, a psiarnia pójdzie Bóg wie dokąd!“ Zatrzymaliśmy konie i naradzamy się co czynić dalej, gdy wtem... na linię wypada doświadczony nasz ogar tropowiec Zagraj, i wietrząc, cwałem ku nam biegnie, za nim w ślad dążą dwa młode kundysy. „Psiarnia się rozerwała!“ — zawołał Wodzicki — „Zagraj czegoś szuka! ha!... może będziemy mieli dwa polowania!“

Zagraj w istocie szybko koło nas przeleciał, wietrząc ciągle po linii, a owe młode pieski pędziły za nim — my puściliśmy się za nimi. Linia Iwanowa, którąśmy jechali, jest na kilka metrów szeroka, okopana sążniowym rowem, który służył tu, jak przy wszystkich liniach, tego równego a bagnistego rewiru, do osuszenia lasu. Głębokość tego rowu, przypływem wód ciągle podmulanego, jest dość znaczna, i w latach mokrych przeprawa przezeń jest prawie niemo-

żliwą, a więc na tych rowach na pewnych przestrzeniach zarząd kameralny był porzucał mostki. Siano na liniach było własnością straży leśnej, a wątpić nie można, iż ona je sumiennie zbierała; otóż i teraz gęste kopice otawy śniegiem oprószone stały na tej linii. Do jednej takiej kopicy dobiegł Zagraj i zaszczekał. Wodzicki już był przy nim i porwał za Beneszówkę, bo wiedział z doświadczenia, iż podczas silnych mrozów dziki, a osobliwie odyńce, bardzo często kopice siana za schronisko sobie obierają. Ja jechałem za nim, a za mną Bestecki. Z pod kopicy siana w istocie, wyskoczył nagle odyniec. Jest to rzeczą trudną do uwierzenia, a jednak prawdziwą, gdyż to sprawdziliśmy na tropie, że ten odyniec, leżący w sianie, rano przepuścił o parę kroków saukami koło niego przejeżdżającego tropiciela, który trop jego widocznie prześlepił i nie wyruszył z barłogu.

Dzik ruszony przez Zagraja wpadł pod nogi Rudzika, ale w chwili, gdy Beneszówka Wodzickiego dwa razy zagrzmiała, Rudzik stanął dęba, i obie kule w śniegu znów zatonęły pod racicami odyńca. Zwierz nietknięty przesadzić chciał rów, lecz to było nad jego siły, zapadł się więc wraz z psiarnią i po krótkiej kąpieli w dalszym już był miocie. Wyznaję, iż byłbym mógł wygodnie, będąc przygotowanym do strzału i stojąc o kilkanaście kroków od tej sceny, strzałem ze sztućca położyć koniec tej jego kąpieli, ale nie przypuszczałem, ażeby strzały z Beneszówki i na kilka kroków chybiać mogły, więc nie chciałem przyjemności popsuć Kazimierzowi. Po chwili zbadawszy jednak istotny stan rzeczy, przekonawszy się, iż odyniec uszedł nietknięty, a rozbitki psiarni za nim pogoniły, puściłem się także za nim w szaloną pogoń. Przesadzenie rowu było niemożliwe, a więc szukać trzeba było mostku i — znalazłem go na moje nieszczęście. Był to mostek na rowie, a że to już było w czasach autonomicznych, więc był to już most autonomiczny, t. j. „most, którego niema“. Były tam trzy belki zaśnieżone, a śnieg do złudzenia okrywał przestrzeń, w którejby inne belki być powinny, ale gdzie ich niebyło. Poczciwy mój Birkut przeczuwał zdradę, zaparł się z rozpaczą i przez most przejść nie chciał, lecz mój zapał myśliwski mnie zaślepił, i zmusiłem rozumniejsze odemnie zwierzę do przebycia tej przeszkody. Belki spróchniałe nie wytrzymały ciężaru, i w jednej chwili ja i Birkut zapadliśmy się wraz z mostem, po samą szyję, w głębokie oparzelisko, nigdy niezamarzające, które na nasze nieszczęście, właśnie pod tym mostem, rów kameralny przecinał. Tej kąpieli w oparzelisku przy 18 stopni R. opisywać nie będę. Chociaż zamiłowanym jestem hydropatą, ale mam przekonanie, że i sam Priessnitz nie byłby podobnej nikomu polecił. Niepozostało nic innego, jak tylko powierzyć losowi moich towarzyszy, a podążyć jak najspieszniej pod gościnną strzechę kolonisty Krebsa, i tam przemienić szaty. Tak się stało. Powróciwszy mokry i przeziębnięty, z mokrym i przeziębniętym Birkutem, ogrzałem się wedle zasady „similia similibus“ nacieraniem zimną wodą. Widząc, że słońce jeszcze wysoko, postanowiłem niezwłocznie powrócić do lasu; przywdziawszy więc inne szaty, a w braku drugiej pary berlaczy, lakierowane buty myśliwskie, wskoczyłem na konia mego masztalerza, który, siedząc cały dzień w domu, nie miał przezorności strzemion suknem lub krajką owinąć. Ciężko tę lekkomyślność okupiłem! Za pół godziny znalazłem się znów na Iwanowej linii, i myśliwskiem uchem śledzić zacząłem, czy mnie jaki słuch nie doleci, ale niestety!... nic... nic nie słychać!... a jakby na złość burza zaczęła się zrywać, i wiatr uginać począł szczyty brzóz i czarnej wierzbiny, a z gałęzi krzewów śnieg zmiatany począł mnie razić do koła. W dali, zdało mi się, że ucho zachwyciło huk kilku strzałów, ale w stronie przeciwnej, nie od Wolicy, ale od granicy Rudnik... to niepodobna, by się polowanie ku tamtej stronie zwróciło!... Nie! to pewnie jakieś słuchu złudzenie! A wiatr szumieć zaczął coraz silniej i śnieżne nadleciały chmury i zaczęło śniegiem białym, prawdziwym mieść dokoła, i po chwili biało było śród przyrody tak, iż lasy same wydawały się już tylko jakiemś złudzeniem, jakąś fata-morganą, ciemne konary drzew migotały już tylko chwilowo jakby cienie, ale i te cienie znikły, dokoła tylko biały całun, a na jego tle, ja stałem ośnieżony, na ośnieżonym koniu, jakby na prześcieradle postawiony marmurowy posąg konny Komandora w Don-Juanie.

Cóż tu mam dalej robić? Czegoż się już tu doczekam? pomyślałem, trzeba wracać do domu, a dygotałem od zimna, więc czwałem wypuściłem konia. Nie czułem tego zrazu, do jakiego stopnia żelazo strzemion oziębiło mi nogi, ale przybywszy przed chatę Krebsa nie byłem już wstanie o własnej sile zsiąść ze siodła; lewą nogę miałem całkiem odmrożoną. Nie zapomnę nigdy męczarni, które przebyłem tej nocy. Lekarstwa tysiączne, które mi wszyscy moi towarzysze radzili, były bezskuteczne, jedynie tylko smarowanie naftą przynosiło mi ulgę, i widocznie tylko zapał myśliwski mnie wyleczył, bo nazajutrz, pomimo odmrożenia nogi i bardzo dotkliwego bolu, pojechałem na polowanie. W nocy, przeziębienie spowodowane mimowolną kąpielą i odmrożenie nogi, przywiodły mi silną gorączkę. Jeszcze przed powrotem towarzyszy rzuciłem się na posłanie i pod wpływem lekarstw domowych, zadawanych mi przez Krebsa i jego żonę, twardo nareszcie zasnąłem, ale miałem sny okropne. Pół we śnie, pół na jawie, widziałem snujące się po pokoju postacie moich towarzyszy i słyszałem urywane wyrazy: „Niema Wodzickiego!... Niema Besteckiego!... Karka sama do domu powróciła!... Wysłać ludzi do lasu!... Zawierzucha!... Okropna zadymka!... Zabłądzą!...“ a po tem znów chaos... i jęk wichru, który dzwonił w szyby i trzask belków chaty, opierającej się z rozpaczą pociskom zawieruchy. Na tle tego świata, który otaczał moją rozgorączkowaną wyobraźnię, ujrzałem nagle dwa widma w drzwiach otwartych stojące, dwie białe postacie, śniegiem oprószone, podobne do posągu żony Lota w słup soli przemienionej. W tych dwóch postaciach zdało mi się niewyraźnie rozpoznać rysy Wodzickiego i Besteckiego. Północ właśnie biła na wiszącym na ścianie zegarze. To znowu jakieś gorączkowe widzenie!... Usnąłem... Ranek zimowy prześliczny, ani chmurki na widnokręgu, ale mróz siarczysty. „Dziki otropione w trzech miotach!“ zbudził nas głos Besteckiego. Zerwaliśmy się wszyscy raźnie z naszych posłań, gorączka już mnie opuściła, a choć mnie odmrożona noga szalenie jeszcze bolała, zacząłem zaciągać berlacze. Gdyśmy się zajmowali wszyscy naszą toaletą, opowiedział nam Wodzicki przygody dnia wczorajszego, który do feralnych śmiało zaliczonym być może.

Gdy po mojej mimowolnej kąpieli pod mostem, odyniec z psami w gąszczach drugiego miotu zatonął, Wodzicki ścigał za nim wraz z Besteckim i dojechał go ostatecznie na obszernej łące, zeskoczył z konia i strzelił, ale mu znowu, i to nie po raz pierwszy, Beneszówka nie dopisała, bo kula gdzieś tylko lekko dzika zadrasnęła. Miałem zawsze wstręt niewypowiedziany do tej strzelby; niemogłem pojąć, skąd pochodziło to zaślepienie, to zamiłowanie Kazimierza do tego lichego instrumentu. On mi w tem przypominał tego niemłodego już mężczyznę, który popadł w sidła młodej zalotnicy i przez wspomnienie chwil przyjemnych niegdyś z nią spędzonych, zaślepiony nie widzi, że ona go oszukuje i do

zguby prowadzi. To też i Beneszówce nigdy tego przebaczyć nie mogłem, że ta zalotnica tyle zawodów, tyle chwil przykrych co chwila przynosiła memu przyjacielowi.

Po tych nowych nieudałych strzałach rozpoczęła się znowu długa pogoń za dzikiem, który już się ostanowić nie dawał i tylko parł z kopyta. Przegoniono cały rewir Bilecki i pogoń dalsza rozciągnęła się aż na rewir Rudnicki. Zmęczony odyniec już chciał spocząć nareszcie, i ostanowił się znowu, ale był już w nie różowym humorze.

Tu znowu butny Rudzik, uprzykrzywszy sobie tak długą jazdę, zaczął się narowić i już pod żadnym warunkiem nie chciał się zbliżyć do ostanowionego dzika, ani spokojnie stać do strzału. Wodzicki zniecierpliwiony zeskoczył z niego, puszczając go na opatrzność losu, a Bestecki na swej Karce rozpoczął za nim po lesie bezskuteczną gonitwę.

Co tam znowu zaszło między Beneszówką a dzikiem, o tem żaden kronikarz nie wspomina, dosyć, że dzik, po krótkim wypoczynku, po nieudałym ataku na strzelca, wraz z psiarnią pomknął dalej, a Wodzicki piechotą w pogoń dalszą puścił się za nim, trąbiąc wciąż na Besteckiego. Ten zaniechał dalszej pogoni za Rudzikiem, i powrócił do swego pana, ale także już na piechotę, bo rozstał się niedobrowolnie ze swoją Karką, która potrafiła go zręcznie zawiesić między konarami starej lipy, a sama, znając drogę doskonale, wprost do domu uciekła.

Na piechurów przerobieni jeźdzcy, przez zaspy śnieżne, pomimo zapadającego zmroku i zrywającej się zadymki, z niepohamowanym zapałem dalej za dzikiem ścigali. Ciemno już było zupełnie, gdy go dobiegli nareszcie i rozpoczęła się straszna walka, w której krew lała się obficie, i padły dwa trupy. Odyniec legł nareszcie od strzałów Wodzickiego i Besteckiego, ale niestety!... i nasz wierny towarzysz tyloletnich myśliwskich wypraw, niezrównany stary tropowiec Zagraj, legł w tym boju od kłów rozjuszonego dzika. Ze sercem ścieśnionem, po utracie ulubionego psa, obaj myśliwi obrócili swe kroki ku domowi, zostawiając na pobojowisku te dwa trupy, już teraz obok siebie w wiecznej zgodzie leżące. Tylko śmierć cudu tego dokonać mogła, by pogodzić z dzikiem Zagraja. Śród ciemnej nocy, podczas szalonej zamieci, przez nieznane knieje, długo dwaj myśliwi brnęli przez zaspy śnieżne, zanim się dobili do gościńca, który ich zaprowadził, po dwumilowym pochodzie, do chaty Krebsa. Były to te dwa białe, ośnieżone widma, które się ukazały tej nocy rozgorączkowanej mojej wyobraźni, gdy w Krebsa chacie północ biła na zegarze.

Zaraz nam Kazimierz oświadczył, że w dzisiejszych łowach już uczestniczyć nie będzie, tylko się uda zaraz z Besteckim na wczorajsze pobojowisko, by podnieść ubitego odyńca i przywieść zwłoki poczciwego Zagraja, aby je uczcić, jak to się słusznie takiemu weteranowi należy, uroczystym pogrzebem. My wyruszyliśmy do lasu, a oni obaj sankami pojechali na pobojowisko, ale próżne były ich poszukiwania. Nocna zamieć naniosła zaspy olbrzymie, wszystkie tropy były zasypane wichrem, który bez przerwy dął do samej północy. Naprózno myśliwi szukali za śladem, rozpoznać się było niepodobieństwem; dzień cały zajęła im ta mozolna praca, i późno o zmroku zjechali się z nami w obozowisku, nie osiągnąwszy zamierzonego celu. Tak więc zwłoki dwóch wrogów i nadal obok siebie spoczywać musiały, pokryte białym śnieżnym całunem.

Zapewne dopiero kiedyś później wilki i lisy rozszarpały zwłoki odyńca, a sęp, albo orzeł z wiosną zawitawszy w te lasy, by w nich uwić swe gniazdo, usiadł może na szkielecie Zagraja i dziób stępiały na nim sobie ostrzył.

Rzecby można, iż jakiś fatalizm przywiązanym był do każdego kroku podczas owej naszej wyprawy w tym roku. Nie naliczyłbym wszystkich przygód dziwacznych, które nas co chwila spotykały. To skłoniło nas do przerwania łowów w tym rewirze, w przekonaniu, że to fatum do miejsca jest na teraz przywiązane. Rozjechaliśmy się więc w różne strony, a ja, z namowy Wodzickiego, udałem się z nim w góry na niedźwiedzie. On sam w swych pamiętnikach, swem mistrzowskiem piórem, opisał te różne przygody; są więc znane czytelnikom „Łowca", nie moją jest więc rzeczą je powtarzać. Widać, że nie do miejsca, ale do osób naszych fatum było przywiązane, bo z tej wyprawy, trwającej kilka tygodni, powróciliśmy bez zdobyczy, lubo z niedźwiedziami spotykaliśmy się dość często, ale zawsze złośliwa Sylwanka odganiała je z przed naszych stanowisk. Polowaliśmy w górach Skolego, Polanicy, Nadwórny i zakończyliśmy w górach Kołomyjskich, aż u stóp Czarnohory. Wszędzie z tem samem niepowodzeniem. Żadnej, powtarzam, nie wynieśliśmy stamtąd zdobyczy, którąby miała kudła lub racice, ale zato niewyczerpane skarby wrażeń, zdobytych śród tej uroczej, prawdziwie czarownej przyrody i tego pełnego poezyi, naszego góralskiego ludu. Co do mnie, oprócz kroci wrażeń innych, uniosłem z pod szczytów Czarnohory legendę, opowiadaną mi przez górala, a z nałogu ułożywszy ją zaraz w rymy, podzielić się nią pragnę z czytelnikiem:

Od górali słyszałem podanie ciekawe.
Że niegdyś Czarnohora, co ma dzisiaj sławę,
Że najwyżej swym szczytem pod obłoki leci,
I wygląda jak matka śród karpackich dzieci,
A trzyma źródeł Prutu od wieków strażnicę,
Niegdyś wyższą nie była niśli jej siostrzyce.
Nad Prutu srebrną wstęgą zadumana stała
I w jego jasne lice, jak w lustro, patrzała.
Aż się raz w lodowatej zakochała chmurze,
Która ponad jej szczytem płynęła w lazurze,
I z miłości ku chmurze tak w górę skoczyła,
Że o tysiąc stóp wyżej z swych posad się wzbiła.
Ale chmura, co w łonie miała tylko lody,
Gniewem srogim spłaciła te uczuć dowody;
Czarnohory zuchwałość tak ją oburzyła,
Że całun lodowaty na jej skroń rzuciła.
I odtąd Czarnohory szczyt śród śniegu stoi,
Ale serce jej ciepłe wciąż o chmurze roi,
Nigdy słońce jej śniegów nie stopi u góry,
A z jej szczytem igrają lodowate chmury.

Zając lekarzem

przez

Aleksandra Ubysza.

„Za doktorów się ludzi udaje nie miara:
Ksiądz, mnich, prostak, żyd, kuglarz, balwierz, baba stara.“
(Przypowieść polska z XVI. wieku.)

Rok 1847 pamiętnym stał się mieszkańcom Galicyi febrą — która w całym kraju epidemicznie grasowała. Mało kto był tak szczęśliwym, że uniknął zimnych jej uścisków. Choroba ta, coś sposobem tegorocznej influenzy, do tego stopnia polubiła niektóre swe ofiary, iż niektórych i rok cały męczyła.

Do podobnych ulubieńców febry i ja jako 14-letni chłopiec należałem. Prawie rok cały trzymała mię w szponach swoich. Iluż to mię leczyło lekarzy, prawdziwych i szarlatanów!? W końcu leczył, kto chciał. Cóż za obrzydliwości nieraz zażywałem? Nic nie pomagało. Ze zwyczajnej „ograszki“ — jak ją lud nazywał — pojawiającej się co drugi dzień przeszła ona w febrę codzienną — a w końcu zmieniła się w tak zwaną „czwartaczkę“, t. j. paroksyzm nader gwałtowny, co cztery dni się pojawiający. Do tego stopnia byłem osłabiony, a nawet na całem ciele obrzmiały, że przez pokój przejść dobrze nie mogłem.

Ojciec mój był w rozpaczy. Nie mogącego uczęszczać do szkoły, zabrał mnie na wieś do poblizkiego Kamienopola, zwożąc do mnie wszystkich lekarzy, jacy tylko byli we Lwowie.

Pewnego dnia, przywiózł ojciec Combiego. Był to włoch z pochodzenia, chirurg i felczer (Unterarzt) pułku piechoty Bertoletti, niedawno z Włoch wraz z pułkiem do Lwowa przybyły.

Combi, przy swojem nieuctwie, nadzwyczajnie był zarozumiały. W dodatku miał pewną manię w systemie swego leczenia. Każdemu, kogo na jaką bądź chorobę leczył, obficie krwi upuszczał. Iluż to na suchoty lub wycieńczenie dogorywających, wcześniej na tamten świat wyprawiał! Najczęściej ginęli mu pod lancetem.

A przecie mimo tych wszystkich wad, cieszył się ten szarlatan wzięciem we Lwowie.

Przywiózł go ojciec mój już w ostateczności, gdy żaden inny lekarz mnie nie wyleczył.

— Nech pan dobrodzeja — przemówił włoch jak szpak szepleniąc — sama pojde precz, a mnie z pacjentem sama zostawi.

Ojciec mój, uczynił zadość jego woli, wyszedł do drugiego pokoju.

Naraz Combi, nic mnie nie badając, dobywa z kieszeni bandaże płócienne, a z pularesu lancet i poczyna ściskać rękę powyżej łokcia.

Zobaczywszy nożyk w jego ręku, domyśliłem się jakiegoś krajania ciała mojego i — narobiłem krzyku.

Ojciec, który to usłyszał, wpadł do pokoju, gdzie się konsultacya odbywała.

— Co pan chcesz robić? — zawołał groźnie, wydzierając Combiemu lancet z ręki.

— Taak — zasyczało włoszysko opryskliwie — „molta bene“, to syn pański będzie umarla.

— Byle nie pod pańskim nożem — odpowiedział ojciec.

Po tej dość gorącej rozprawie, pojechał sobie do Lwowa, ten rzeźnik prawdziwy.

W parę dni przyjął był ojciec klucznicę starą i tak brzydką, że nabrałem przekonania, iż kto nie miał febry, na widok jej mógł ją dostać.

Oprócz rządzenia spiżarnią, czem wcale umiejętnie się zajmowała, jeszcze dwie inne umiejętności wykonywała, a mianowicie, trudniła się kładzeniem kabały i leczeniem przeróżnych chorób, posiłkując się w tem staroświecką, poszarpaną, gotyckim drukiem drukowaną — książką lekarską. Była przy tem niewyczerpaną w opowiadaniu bajek, których ja bardzo chętnie słuchałem. No — i umiała chwalić się ze swych niemal cudownych kuracyj.

— Pani jedna w Starym Milatynie — tak np. opowiadała klucznica — którą wszyscy lekarze upuścili, już umierała — a ja zalałam jej dwie flaszki naraz mojego lekarstwa i — ozdrowiała. Oho — dodała z wyrazem niewzruszonej pewności — ja panicza z tej „frybry“ wykuruję.

I tego samego dnia, przy asystencyi sióstr moich, podała mi pełną butelkę jakichś bełtów do wypicia.

Okropność! Ilem dotąd wypił lekarskich i babskich mikstur, były one ambrozyą w porównaniu z tą miszkulancyą. Nie chciałem pić tego lekarstwa, lecz siostry moje widząc mnie tak schorzałym, ze łzami w oczach, prosiły bym wypił.

— Jeżeli to nie smakuje, niech panicz zatka sobie nos, a pójdzie — radziła megera.

Uczyniłem tak i naprawdę, jak dobry pijak, na dwa hausty wypiłem całą flaszkę, w te tropy neutralizując posmak i woń lekarstwa sporą dozą konfitur różanych.

— Ręczę, że frybra uciecze — rzekła baba chełpliwie.

Z czego owo lekarstwo się składało nie wiem, dość, że przez godzin kilkanaście byłem odurzony.

Następnego dnia przypadał paroksyzm „czwartaczki“.

Zjawiła się najpunktualniej około 10 godziny przedpołudniem.

— Dam co inszego — rzecze klucznica.

Jedna z sióstr, chcąc się przekonać, co w owej podartej książce przed wiekami drukowano, kazawszy klucznicy podać ją sobie zapytała:

— Z jakich ziół składało się owo lekarstwo?

I otoż pokazało się, że ta prosta baba gotyckich liter przeczytać nie umiała.

Siostra wręcz oświadczyła, że po tej pierwszej próbie, która mnie gorzej jeszcze osłabiła, na żadne inne lekarstwa nie pozwoli. Klucznica wszakże, której koniecznie wyleczyć mnie się zachciało, przeróżne „sympatyczne“ sposoby kuracyi na mnie praktykowała.

Opasano mnie paskiem, którego ksiądz przy mszy do „alby“ używa. Na wąziuchnym pasku papieru napisano czarnoksięzkie słowa: *akies*, *bakies*, *arakienis* — papierek w winie moczono i to wino wypić mi kazano. Lecz wszystkie

użyte lekarstwa i środki sympatyczne, nawet zażegnywania klucznicy nic nie pomagały. Febra jak była tak była.

Pewnego dnia podsłuchałem następującą mowę klucznicy do sióstr moich:

— Mam jeszcze jeden spósób; jak ten nie pomoże, to niech mnie samą frybra zatłucze albo s z l a k trafi.

Na tem konsylium a względnie czarodziejskim soborze, zakonkludowano, że jutro, w dzień paroksyzmu, o ile możności najraniej, udać się mam na którąbądź granicę wsi, wziąwszy tam ze sobą „przylepkę“ chleba, mały woreczek mąki pytlowej, surowe jajko — (które musiało być od czarnej kury, po które aż na trzecią wieś, do Laszek, dziewkę posyłano) — wreszcie krajcar, srebrnym zwany, drobną monetę miedzianą owego czasu. To wszystko miałem zakopać w ziemi lub co jeszcze lepiej, wrzucić do wody jeśliby się na granicy znajdowała.

Na drugi dzień, zabrawszy wszystkie te dla febry dary, bardzo powolnym, schorzałym krokiem ruszyłem ku granicy wsi Lesienic, gdyż tam samą granicą płynął mały strumyczek. Co najważniejsze po złożeniu darów a względnie okupu, (tak radziła klucznica pod grozą, że wszystko nadaremne, bo „frybra“ się nie odczepi), nie wolno mi było oglądać się po za siebie.

Już doszedłem do kamienopolskiego lasku, na nic nie zważając, a tu nie wzywanych troje chartów wlecze się za mną. Dodam, że u psów miałem wielki myr, toż osłabiać go nie chcąc, nie naganiałem ich wcale.

Liczyłem podówczas dopiero lat 14; mimo to byłem już zapalonym charciarzem. Z ojcem i bratem starszym często wyjeżdżałem z chartami. A nawet i sam dorwawszy się jakiej szkapy, bodaj „oklep“ wymykałem się w obszerne pola i polowałem na własną rękę, rzadko kiedy bez uszczutego zająca do domu wracając.

Tych troje chartów składała stara charcica „Szpilka“ i dwoje jej dzieci, właśnie w pierwsze „pole“ wstępujących.

Idą — Szpilka swoim zwyczajem poczyna nypać po „komyszach“ i małych krzaczkach łoziny, których było pełno na całej przestrzeni do granicy Lesienic i poblizkiego tej wsi lasu dębowego, bo obszerne to błonie było piaszczystem uroczyskiem.

Zapomniawszy o głównym celu tej mojej wycieczki, poczynam i ja buszować po „komyszach“.

Mimo wielkiego osłabienia, zagrzany myśliwskim „animuszem“, szparko kroczę przez gęsto rozsiane kretowiny, rzadko porośniętą szczecinę, czyli trawę twardą jak drut, której nawet wychudzona kobyła żyda arendarza spasać nie chciała. Miejsca te aż „pachły“ zającem, któżby wobec tego na febrę zważał? A już poczęła ona dreszczami i reumatycznymi bolami wygrywać na krzyżach moich rodzaj introdukcyi do dalszej uwertury. Naraz, z pod samych stóp moich, wymknął się zając. „Hajżgo!“ krzyknąłem na charty. Pomkły za zającem jak strzała. I ja ruszyłem za nimi co tchu. I mogę się pochwalić, żem popierał wcale dobrze.

Wówczas i dziś jeszcze pytam sam siebie: Skąd we mnie, wychudniętym i opuchłym na nogach, tyle się siły wzięło? Przyszedłem do konkluzyi, że to wszystko zdziałała żyłka myśliwska do dziś dnia we mnie tkwiąca.

Zając, jakkolwiek nie był graczem pierwszej próby, jednakowoż dobrze pomykał do lasu kamienopolskiego, do którego od miejsca po szczuciu było jakie pół ćwierci mili.

Biegnę raz co tchu, to znowu, żeby trochę wypocząć, kroczę powoli a bacznie śledzę pościg chartów. Już się ku samemu lasowi zbliżają. „Oho! — myślę zmartwiony — zając ucieknie“. Na raz przy samych prawie krzakach „kniaź“, „kniaź“ wyraźnie usłyszałem — i zając był „wzięty“. Widok ten tak mi był miłym, że mi się zdawało, iż mi kto skrzydła przyprawił. I wnet dobiegłem za chartami do tej, że się wyrażę, wyścigowej mety.

Oblesna i pochlebna córeczka „Szpilki“ przyjęła mnie z otwartemi łapami tj. wsparłszy się niemi na moich ramionach, poczęła mnie lizać po twarzy. Oznaczało to pochwałę własną za złapanie zająca.

Czułem się mocno zmęczonym, umyśliłem więc spocząć w głębi lasu, powiesiwszy wprzód pochwyconego zająca na dębczaku, stosownie do słów „Ojcze nasza“: *Et ne nos inducas in tentationem*, aby młodych chartów nie wieść do pokusy.

W czasie wypoczynku zasnąłem snem tak twardym jak nigdy w życiu. Gdym się obudził, było już zupełnie ciemno około godziny 8. W czasie snu spociłem się tak, jak gdybym leżał w wodzie.

Charty, którym się snać długie czekanie sprzykrzyło, wróciły do domu.

Zająca, bardzo ciężkiego, na ramiona wziąwsy, poszedłem i ja drogą ku domowi. W połowie drogi spotkałem obie siostry i klucznicę czarownicę.

— Zmiłuj się, gdzieś był do tej pory; umierałyśmy ze strachu!

— Panicz — dodała klucznica — będzie „rychtyg“ zdrów, jeżeli to wszystko „regularnie“ wykonał, com kazała.

Dano mi jeść, poczem spać się położyłem, znowu snem kamiennym zasypiając.

— Jak się tam czujesz? — pytały mnie nazajutrz siostry.

— Wcale dobrze, lepiej niż przedtem.

Lecz czekam terminu paroksyzmu. Nadeszła 10, 11, 12 godzina — nie czuję, żeby mnie brały dreszcze.

Klucznica, którą siostry aż trzema kieliszkami cynamonówki poczęstowały, poczęła głośno sławić swe znachorstwo.

— A nie mówiłam paniczowi i panienkom, co jak to nie pomoże, to z paniczem będzie „aus“.

Na to ja głośnym wybuchając śmiechem, wydobywam i pokazuję wszystkim nietknięty okup dla febry i objaśniam, że wcale nie używałem tych czarów, bo po drodze wymknął mi się ów zając, co dla mnie więcej znaczy niż wszystkie lekarstwa i czarowania pani klucznicy.

Tym razem więc nie żaden człowiek, chociażby jak uczony, był moim lekarzem — tylko zając!

Klucznica czarna jak cyganka pożółkła na twarzy, a choć się z niej potem śmiano, nie odstąpiła od wiary w swą gotycką książkę i sympatyczne leki.

W JESIENI.

Letnim zmęczony skwarem dyszy bór bezwładnie,
Lecz chłód jesiennych wiatrów budzi go z omdlenia,
Drobny, cichy jak litość, orzeźwia go deszczyk,
A gdy z za chmur płaczących wyjdzie znowu słonko —
To szle już nie miłości ogniste uściski,
Nie twórczym w łono ziemi przenika promieniem —
Lecz jakby wyczerpane z życiodajnej mocy,
Tęsknym tylko uśmiechem wita miłą ziemię
I składa na jej czole pocałunki bratnie...

A zdaje się chwilami, że tej gry miłości,
Co tak cudownie plony z ziemi wydobyła,
Co ptakom dała gniazda, a sysakom mleko —
Że tych cudów tworzenia znów się zacznie wątek.
Oh, nie! Brak już polotów, zamiarom brak siły!
I chociaż kwiat, zwiedziony połyskami słońca,
Tu ówdzie znów z obsłonek barwną pierś wychyli —
Marnie mu przyjdzie konać bez spełnienia celu,
Który mu w rozmnożeniu wskazała natura.

Nie w pęcze też i kwiecia strzela drzew korona,
Lecz, jakby wiążąc blaski gasnącego słońca,
To żółte, to czerwone bierze na się barwy,
I w paletę wspaniałą najżywszych kolorów
Zmienia lasów gęstwinę.

I śmierć ma swój urok;
I ona, gasząc życie, jeszcze w blask się stroi!
Ze szmerem, jakby modlitw, szeptanych przed zgonem,
Leci ten żółty, krwawy i ciemny liść z drzewa,
Obnaża całą knieję ze szat jej powiewnych,
Kobiercem się układa na spoczynek wieczny —
A za podmuchem wiatru tak dziwnie szeleszcze,
Że szarak, przestraszony tym tajemnym szeptem,
Przycupa, stawia słupka, potem kipi w pole
I ukrywa się w bruździe.

Mniej czujące trwogi,
Trzymają się na lesie stadka sarn wesołe,
Tupocząc raciczkami po kobiercach liści.
Nęci je w polu jeszcze zapóźniony snopek,
Lub zawcześnie kłująca się z bruzd ozimina —
Ale las sam już sypie dojrzałym owocem,
Że zaś wichrom i deszczom mniej daje dostępu,
A podciołek scypuły wnet wycierać zacznie,
Stałej sobie już w lesie szukają ostoi.

Przepiórka jeszcze w ścierni miałaby co zbierać,
I skowronek spasiony spiewa rad nad bruzdą —
Lecz ponad nimi, krucząc, leci klucz żórawi
I przestrzega, że mrozy wszelkie życie zetną...
Więc i słonka i chruściel, gołąb i krzyżówka
Za tą wieszczbą żórawią kwapią się już w drogę,
I cały ród spiewaczy smętnieje i głuchnie —
Tylko wierna gosposia — kuropatwa — cieknie,
Rozsiada się stadkami pośród traw pożółkłych,
Na mróz i śnieg gotowa, byle tu — w ojczyźnie.

Dzik, myślący o żarciu, nie dba wcale o to,
Co wieści strop niebieski lub co szemrze knieja,
Czy upał, czy mróz luty — jemu wszystko jedno,
Szczeć zgęstniałą na smolnych sosnach pooblepiał —
A teraz, ryj spuściwszy, biegnie truchtem w pole,
By dojrzałe kartofle zpyskować do szczętu.
A nietylko rolnika pracowita ręka,
Lecz sam las przygotował sutą dlań biesiadę,
Bo sypie bukiew źrałą i tłuste żołędzie,
Jak gdyby ród szczeciaków pierwszym był na świecie!

Wszelki też zwierz drapieżny, i wielki i mały,
Tak się poczuł na siłach przy obfitym chlebie,
Że rozpędza swą dziatwę na własny zarobek.
Toż młódź wilków i żbików, lis i borsuk ciężki
Na krwawy ciągną rozbój, myśląc też o domu,
Gdzieby na deszcz i śniegi do snu złożyć głowę.
Hej, i niedźwiedź, choć obrósł sutymi kudłami,
Plądrując co późniejsze owsy i jagody,
Mruczy coś i o gawrze niewyraźnie duma.

Jeden tylko, ten w górach, król karpackich borów,
Co wieńcem rosochatym czoło swoje zdobi,
Nie chce uznać, że do snu kładzie się przyroda.
On z wichrów, co po debrach opętane świszczą,
I ze strzał, co padały z lipcowego słonka,
Tyle wziął w siebie mocy, dzikości i ognia —
Że teraz, wbrew konaniu jesiennej przyrody,
Na szczytach gór miłośne rozpoczyna gody.

Haho! Grzmotem na ryki odpowiada sztuciec,
Bo myśliwy jelenia zszedł na rykowisku.
I tym grzmotem wydano już hasło do łowów;
I wnet się psiarni granie odzywa w parowach,
A tu huczków odgłosy, a tam róg myśliwski,
Co grzmi, jęczy i echa z głębi lasów niesie...

Z lasów to, czy z pod arkad gotyckich kościoła,
Gdzie święty Michał rozwarł olbrzymie podwoje?...
Świątynią knieja zda się i ofiarnym gajem,
A płynie tak potężna, tak majestatyczna,
Tak podniosła muzyka ech, wołań i strzałów —
Że łowiec, jak pan życia i śmierci w naturze,
Staje do groźnej walki o łowną zwierzynę,
Którą się tak obficie zapełniły knieje.

Haho! W lasy, myśliwcze! W lasy ruszaj z bronią!
Walka o byt cię woła! Podstępem i siłą
Masz przyrodzie odebrać, co ci się należy.
Proch i dym, krew i ołów — to słowa zagadki,
Broniące twojej władzy przed płodnością ziemi,
Co w końcu swym nadmiarem zgniotłaby i ciebie...
Śmierć i miłość stróżują tu na krańcach bytu —
Wieczne i nieskończone w tym zegarze świata,
Gdzie Bóg tylko zna ustrój i ruch kołom daje.

St.

Wędrówki naszych ptaków.

Skreślił
Władysław Spausta.

Oryginalne wędrówki odbywają pewne gatunki ptaków, o których już pobieżnie wspomniałem; powtarzają się one nieregularnie i nie dają się ująć nawet w przybliżeniu w jakiekolwiek prawidła. Są to wędrówki słusznie przez naturalistów cygańskimi zwane, tem ciekawsze, iż wiele gatunków zmienia przytem i okolicę lęgów i swą ojczyznę.

Gdy w lasach górskich nie obrodzą nasiona drzew iglastych — takie jest zdanie naturalistów — wędrują krzyżodzióby *(Loxia curvirostra)* w doliny. Kolosalna taka wędrówka miała miejsce ubiegłej jesieni. Masami nie do opisania zleciało to ptactwo w kultury świerkowe mojej okolicy; wszędzie go było pełno, a niektóre drzewa literalnie uginały się pod ciężarem krzyżodzióbów.

Pod świeżem wrażeniem spostrzeżeń podaję tu jednak, iż ptactwo to pojawiło się w sierpniu, zatem w porze, w której szyszki świerku zawierały zupełnie nieścigłe nasiona. Początkowo nie tykały nawet krzyżodzióby niedojrzałych szyszek, później zaś, gdy dojrzały, w październiku, obserwowałem niezliczone razy, jak ptaki te jakby bawiły się tylko obcinaniem dojrzałych szyszek w szypułkach, bo wszędzie po lesie spadały z łoskotem szyszki już dojrzałe, lecz bardzo mało dzióbami naruszone i pozostawały dalej nieruszane na ziemi, a nawet jeszcze po dziś dzień ziemię okrywają. Wiele z tych szyszek, których naruszenie powierzchowne było widoczne, badałem gruntownie i przekonałem się, iż pomimo nastrzępienia powierzchownego, mało gdzie brakło nasionka pod okrywą łuski, przez lupę zaś dojrzałem jakiś rodzaj liszki, ukrywającej się w szparach łusek; tę samą liszkę znalazłem także na drobnych gałązkach i pomiędzy szpilkami tychże, przyszedłem zatem do przekonania, że krzyżodzióby żywiły się wspomnianymi liszkami, zwłaszcza, że i w wnętrznościach kilku ubitych krzyżodziobów, nie mogłem dopatrzeć nasion świerkowych. Powód obcinania szyszek i spuszczania ich na ziemię pozostał mi niewytłumaczony.

Czyżby przypadkiem twierdzenie o nieurodzaju szyszek w lasach górskich, jako pobudce wędrówki krzyżodziobów, nie należało również do utartych a uparcie powtarzanych frazesów? Ostatnie krzyżodzióby (także krzywonosami zwane) widziałem w styczniu — wyniosły się one prawdopodobnie na lęgi.

Orzechówka *(Corvus caryocatactes)*, ów nasz góral pomiędzy ptakami, pojawia się, jakkolwiek rzadko, w rozmaitych okolicach kraju, przebywając tam nieraz i po kilka miesięcy. K. Pietruski wspomina o takiem przybyciu gromadnem orzechówek w roku 1844. do Podhorodec, w górach stryjskich. Ojczyzna tego ptaka jest bardzo ciasną, jak widać, i ogranicza się na wysoko położone lasy górskie w okolicach Skolego, skoro zjawienie się orzechówki w Podhorodcach, zatem również w dość okazałych górach, zalicza znany polski ornitolog do zjawisk rzadkich.

Obserwowałem ptaka tego w roku 1879 lub 1880, tego dobrze nie pamiętam, w miesiącu sierpniu w powiecie złoczowskim. Pojawił on się w wielkiej ilości naraz, nie latał jednak w wielkich stadach, lecz więcej pojedyńczo, lub po kilka sztuk, a spotkać go można było wszędzie po lasach. Ubiłem wtenczas sztuk kilka i od tej pory już go więcej nie widziałem. Żałuję, że nie uważałem wtenczas, w jakim kierunku wędrówka ta się posuwała, bo Pietruski wspomina, że ptak ów wędrował podówczas od wschodu na zachód.

Niemniej oryginalną wędrówkę ma odbywać jemiołuszek *(Bombicylla garulla)*, gnieżdżący się na północy w Szwecyi, Finlandyi i Laponii, o którym do dziś dnia jeszcze prawią, iż wędruje co lat 7. Kto tak myśli, ten niechaj mi zechce uwierzyć na słowo, iż przez lat 12 pobytu mego w Juśkowicach, w powiecie złoczowskim, widziałem go co roku na drzewach parku tamtejszego, a pojawiał się on z taką regularnością, iż mogłem niemal dzień jego przybycia naprzód oznaczyć. Zwykle na początku grudnia, a nieraz w końcu listopada, przybywał ten przepiękny ptak w stadzie z kilkudziesięciu sztuk złożonem i obsiadał drzewa, przepędzając aż do marca zimę niemal na tem samem miejscu, bo oddalał się tylko chwilowo do pobliskich ogrodów wiejskich. Żyło to ptactwo niemal wyłącznie kleistymi jagodami jemioły *(Viscum album)*, bo pasożyt ten w ogromnej ilości znajdował się na lipach, akacyach i topolach wielkiego tego parku, a do dziś dnia prawdopodobnie i w jeszcze większej znajduje się ilości, gdyż zauważałem, iż jemiołuszek, żerując jemiołę, rozszerza ją, gubiąc po gałęziach lepkie ziarna w odchodach.

Ptak ten dostarczał mi przez całą zimę bardzo łatwej do upolowania zwierzyny, bo po strzale ledwo że wzlatywał, by usiąść napowrót na to samo miejsce. Ktoby nie wierzył, że ptactwo to wędruje dla żeru, ten by się łatwo przekonał o tem, spojrzawszy na żerujące stado jemiołuchów. Toż to dopiero jedzenie! Aż strach patrzyć, tak łakomo, tak spiesznie i gorączkowo odbywa się ten proceder. Po odlocie jemiołuchów naprózno szukasz choćby jednej jagódki jemioły w całym parku, wszystko zjedzone, tylko tu i ówdzie oberwane listki lub okruszone łodyżki świadczą o odbytych biesiadach, i to nie na długo, bo wnet sprzątają je zające z największym apetytem.

Jemiołuchy zatem prawdopodobnie należą do zupełnie regularnie wędrujących ptaków, których granica południowych stref wędrówki właśnie u nas leży, a jeżeli dotychczas utrzymuje się wiara (nawet w dziełach przyrodniczych), iż wędrują one li tylko w pewnych latach, to wiara ta powstała wobec zwyczaju tego ptaka, iż w wędrówkach swych odwiedza on tylko pewne miejsca, w których ulubiony żer znachodzi i przesiaduje w tychże, nie ruszając się prawie z miejsca, skutkiem czego od szerszej obserwacyi się usuwa. Stąd jedni nie widzą go u nas nigdy, inni bardzo rzadko, a w niektórych, szczególnie odpowiadających mu okolicach, jest on zwykłem zjawiskiem każdej zimy.

Nie dostrzeżono dotychczas, aby jemiołuchy kiedykolwiek u nas się gnieździły; wracają one najregularniej z wiosną do swej północnej ojczyzny, a po odlocie stad, nawet pojedyńczych egzemplarzy dojrzeć już nie można. Posiadają zatem ściśle zakreśloną ojczyznę, nie tak, jak wiele innych gatunków, których ojczyzna widocznie ciągle się zmienia. Ztąd pochodzi, iż spotykamy nieraz w naszem życiu myśliwskiem pewne gatunki lub odmiany, których dotychczas w jakiejś okolicy nie zauważano, i mianujemy je niesłusznie

zabłąkanymi, podczas gdy mogą to być albo mieszkańcy stali, usuwający się jednak od obserwacyi z powodu swej małej ilości na klimatycznych swych granicach, albo są to gatunki lub odmiany, które obierają sobie nową ojczyznę. Do takich należy żołna, czyli pszczołojad albo szurka *(Merops apiaster)*, żyjąca w krajach południowej Europy a zalatująca i do nas. Nie widziałem żołny wprawdzie nigdy, ale znane są wypadki ubicia tego pięknego ptaka u nas, a K. Pietruski nawet podarował staremu Brehmowi pszczołojada, ubitego w Podhorodcach. Bardzo wiele z mniejszych ptaków, które usuwają się najczęściej uwadze, również podobne zachowują zwyczaje, że wspomnę tu tylko o kluczyku *(Fringilla serinus)*, którego Pietruski z niemieckiego girlicem zowie. Ptak ten, jak powiada wspomniany badacz, pojawił się w jego okolicy pierwszy raz w roku 1850 i pozostał już tam stale, rozmnażając się w wielkie mnóstwo, zajął on zatem nowe pasma na ojczyznę.

Cygański taki żywot prowadzi wiele bardzo ptaków, więcej daleko niż o tem pobieżnie sądzić można, bo różnicy w faunie ptasiej pewnej okolicy trudno nieraz dojrzeć, osobliwie u gatunków drobnych, lub prowadzących życie ukryte.

Wspomnę tu jeszcze o niezwykłych wędrówkach pustynnika *(Syrrhaptes paradoxus)*. Ptak ten osiadły na stepach i równinach Mezopotamii i Syryi od czasu do czasu wędruje na północny zachód. Pierwszy raz spostrzeżono go bardzo już dawno temu około Sarepty w Rosyi południowej. W r. 1859 zastrzelono parę sztuk koło Wilna. W r. 1863 pojawiły się niezliczone stada tych ptaków w Europie środkowej, a na wyspie Borkum przy ujściu rzeki Ems, widywano stada z 80 sztuk złożone. W krótkim wszakże czasie znikły pustynniki w Europie, a ostatniego ptaka widziano w październiku w roku 1864 w W. Ks. Poznańskim, a w zimie r. 1864 koło Brodów (w Galicyi).

W roku 1888 w kwietniu, w tym samym niemal kierunku wędrował ptak ten przez wszystkie kraje Europy środkowej, i dopiero ocean Atlantycki położył kres jego wędrówce. Dnia 27. maja widziano pustynniki na wyspach Orknejskich!

Czyż i to byłyby wędrówki, mające swój powód w okolicznościach już tutaj naprowadzonych? To nieprawdopodobne! Znowu zatem stanąłem przed zagadką w chwili, gdy idąc po kłębku, starałem się dojść do jakichś pozytywnych rezultatów. W przepaść straszną stoczył się mój przewodnik i zda mi się, że długo jeszcze przepaść ta powtarzać będzie echem tylko własne słowa zapytania mozolnych badań na tem polu.

Istnieją więc motywa zupełnie nam jeszcze nieznane, i wskazują, że nie każdą wędrówkę odnieść można do pobudek już poprzednio poszczególnionych. Tu zatem na progu tajemniczego gmachu, na którym kończy się szczypta naszej wiedzy o wędrówkach ptaków, wobec objawów nawet dla hypotezy nie bardzo przystępnych, pozwólmy sobie na dziś jeszcze rozpuścić wolno skrzydła fantazyi i powtórzyć z Rückertem:

Skrzydeł! ach skrzydeł, lecieć mi trzeba,
Nad gór wierzchołki, po nad doliny,
Sięgnąć wysoko do stropów nieba,
I stroić czoło w jutrzni rubiny.
Skrzydeł! ach skrzydeł! wzlecę nad morze,
Skąpię się w rannych promieniach słońca;
Skrzydeł! by lecieć w życia bezdroże,
Nawet za grobem lecieć bez końca.

Jak wiele tajemnic kryją w sobie owe wędrówki czasowo uspionych a wreszcie do strasznego ruchu przebudzających się plemion, tak niemniej zagadka kryje objawy w życiu ptaka, wędrującego na zagubę, wędrującego aż do śmierci.

Jeżeli ziścić się ma wypowiedzenie Rousseau'a, iż paradoxa są to prawdy, pojawiające się wcześniej o całe stulecie, to już niezadługo miałaby wybić godzina zdarcia zasłony z tajnią okrytej wędrówki omawianego „paradoxusa“, o czem niech mi wolno będzie tymczasem powątpiewać.

Odbiegając na chwilę od świata ptasiego, wspomnę, iż podobną paradoxalną wędrówkę odbywa łosoś, jak to opisuje W. Middendorff (Sybirische Reise B. IV. 1130). Ryby te pchają się gorączkowo w górskie potoki, do swych miejsc rodzinnych, gdzie niegdyś ikra ich złożoną została, niepomne, że przejęte ozonem powietrze górskich wód zabija je, pchają się jeden koło drugiego na płytkie wody, grzbiety już wystają nad wodę, a wędrówka trwa dalej; ludzie już nie harpunami, ale rękami i kijami uzbrojeni wyławiają tysiące tych ryb, zwierzęta drapieżne, niedźwiedzie, psy, ptaki szarpią ich ciało, lecz to ich nie odstrasza, wreszcie wody braknie, przewracają się na boki i giną nędznie niemal na suchym gruncie.

Większa część naszych ptaków posiada tak wybitny pociąg towarzyski, że przeważną część życia poświęcają życiu towarzyskiemu, a bardzo mało jest gatunków, u których zmysł ów słabo się tylko objawia. Należą tutaj niektóre gatunki ptaków drapieżnych, jakoteż niektóre z brodźców.

U pewnych gatunków, zmysł towarzyski nie usypia nawet podczas rozmnoży, a nieraz można spostrzec, jak kilkanaście szpaków, zebrawszy się na jakiemś drzewie, odprawia tam swój skandaliczny koncert, podczas gdy tymczasem płeć piękna siedzi na gniazdach. Trwa ten koncert niedługo, muzykanci towarzyscy, nasyciwszy się choć chwilę swym chórem, rozlatują się, aby zebrać się znów na drugi dzień w oznaczonem miejscu. Widać zatem, że wśród najważniejszej czynności w życiu, w porze lęgów nawet, towarzystwo bodaj chwilowe jest koniecznym wymogiem tych miłych, pięknych ale nieudolnych śpiewaków.

To też, gdy tylko młode szpaczki latać zaczynają, odżywa w całej pełni życie towarzyskie, szerokie pastwiska, pola, lasy i ogrody pokrywają stada niezliczone i zachwycają oko swymi przedziwnymi ewolucyami w locie, wykonywanymi przez krocie szpaków, a kierowanymi jakby jakąś siłą czarodziejską. Płachty te lecą nieraz po nad samą ziemię, raptem w miejscu, pod ostrym kątem, zatacza szeroko rozciągnięte stado zwrot, przyczem każdy ptaszek musi zachować proporcyonalny ruch względem długości drogi przy zawrocie, i wzbijają się w górę, aby powtórzyć ten sam ruch prześliczny na tle jasnego nieba. W zgiełku tym nikt nikogo nie potrąci, nikt się nie spóźni, nikt nie wyprzedzi, panuje tam jedna myśl, zdumiewający ład, jak gdyby całe stado było jednym kolosalnym organizmem.

Z małymi wyjątkami dostrzegać się daje niemal u wszystkich naszych ptaków pewien niepokój, gdy się pora wędrówek zbliża, pewna widoczna trwoga napawa cały świat ptasi, gdy się zbliża wykonanie wielkiego dzieła, a wrodzony zmysł towarzyski każe im w zgromadzeniach szukać ulg i pociechy. Żyły one dotychczas dla rodziny, a teraz pragną żyć dla całego towarzystwa swych współplemieńców i dzielić z nimi wspólnie dobre i złe losu koleje.

Każdemu, kto miał sposobność bliżej się przypatrywać życiu ptactwa, znane są owe towarzyskie zebrania w jesieni,

a nawet niemal każdy mieszkaniec miasta widział zebrania jaskółek lub jerzyków *(Cypselus murarius)*, gdy krociami obsiadają, przed nastąpić mającą wędrówką, wieże lub dachy wysokich budynków. Gromadne te i dość krzykliwe zgromadzenia trwają nieraz dni kilka, a gdy po 15. września pierwszy powieje wiatr z północy, odlatują zwykle niepostrzeżenie owe stada, odlatują po zachodzie słońca, aby przepędzić zimę w niezbadanych jeszcze kątach Afryki środkowej.

Widoczną jest rzeczą, iż owe gotowe do podróży gromady wyczekują przez pewien czas li tylko sposobnej chwili i korzystnych dla lotu prądów atmosferycznych, bo jeżeli się uważnie przypatrzymy, co się na tych zgromadzeniach dzieje, to przekonamy się, że pomimo biernego zachowania się mas, są tam czynne pojedyńcze osobniki, które od czasu do czasu odrywają się od stad, przelatują w rozmaitych kierunkach, wzbijają się w górę, wracają napowrót, a na ich miejsce wstępują inni aktorowie — jednem słowem odbywają się bezustannie jakieś zwiady meteorologiczne.

Do niedawna a w części i po dziś dzień jeszcze istnieje wiara (nawet w dziełach przyrodniczych), iż ptaki wędrują pod wiatr, a nawet sławny Brehm *(Das Thierleben)* utrzymuje, iż wiatr przeciwny wspiera i przyśpiesza wędrówkę, podczas gdy wiatr z tyłu wstrzymuje nawet takową na czas pewny. Przykro mi, że nie mogę sobie rzeczy ułatwić i powtórzyć utarte dogmata. Nie budzi się tu bynajmniej we mnie duch negacyi; lecz głębokie przekonanie, oparte na objawach, stanowiące rzeczywistą i niemylną powagę, zmusza mnie przemawiać za sobą.

Badając przez długie lata wpływ wiatru na wędrówki ptaków, przyszedłem do przekonania, że ptactwo, przelatujące naszą krainę, zaprzestaje niemal wędrować podczas zbyt silnych wiatrów, z której niebądź by one wiały strony. W myśliwskiem mem życiu zaliczam dni takie, szczególnie wietrzne, do najwdzięczniejszych, rozmaite bowiem ptactwo, wstrzymane w wędrówkach, przepędzało czas w zacisznych ustroniach lasów, wód, błót i zarośli, a silny wiatr ów, sprzymierzeniec myśliwego, dozwolił podsuwać się bardzo blisko i ułatwiał rzadką zdobycz. Słabsze wiatry zdają się nie wielki wywierać wpływ na wędrówki ptaków, bo wędrują one w obec najrozmaitszych kierunków wiatru. Notatki zaś moje w tym przedmiocie, odnoszące się do długiego szeregu lat, mówią, że w największej liczbie wypadków wiatr południowy lub południowo-zachodni sprowadza nam ptactwo z wiosną, przeciwnie zaś podmuch północny lub północno-wschodni wypędza od nas takowe. Tylko jako rzadkie fenomena mam zapisane jesienną wędrówkę gęsi i żurawi przy wietrze południowym.

Odloty bocianów zauważałem najczęściej przy wiatrach zachodnim i wschodnim.

Słonki, drozdy, paszkoty, kosy, szpaki, gołębie przylatywały w 12 wypadkach na 15 przy wietrze południowo-zachodnim. Do obserwacyi tej, osobliwie co do słonek, przykładam o tyle większą wagę, iż ptaki te wędrują prawdopodobnie nisko, a więc w prądach nadziemnych, przystępnych bezpośredniej obserwacyi.

Ptactwo wodne odleciało w jesieni r. z. przy wietrze północno-wschodnim, w innych latach wędrowały w jesieni kaczki, gęsi, przy wiatrach zachodnich, północnych, wschodnich, a nadzwyczaj rzadko przy wietrze południowym.

Podczas gdy to piszę, wędruje już ptactwo, dołączam tu zatem zupełnie świeże spostrzeżenia. Dnia 9. marca (wiał w nocy i w dzień poprzedni wiatr S. W.) rano ujrzałem pierwsze stadko gołębi siniaków *(Columba oenas)*, złożone z 7 sztuk. Na drugi dzień, 10 marca, usiadło stado z 16 szpaków na topoli koło domu, a wiatr trwał dalej S. W. Dnia 9. marca przyleciały dwie pliszki samce. Dnia 6. marca przy wietrze W. ujrzałem pierwszego Kostogryza (Kląsk, *Coccothrauster vulgaris)* w lesie. Dnia 13. marca, również przy wietrze W. S., usłyszałem pierwszy raz głos kosa. Dnia 14. marca przy wietrze W. O. ciągnęły żurawie, a 18. kwietnia kukułka. Lecz czyż te wszystkie obserwacye co do wpływu kierunku wiatrów mają tak wielkie znaczenie, skoro badacze wędrówek ptaków nie mają zbyt często sposobu rozpoznawać prądy w rozmaitych warstwach powietrza, owych najciekawszych prądów, których właśnie ptak do wędrówki używa? Jeżeli stan nieba jest tego rodzaju, że w rozmaitych wysokościach unoszące się chmury unaoczniają swym ruchem także i kierunki prądów, to jeszcze pół biedy; ale jakże wybadać kierunki prądów w owych ptasich szlakach, gdy niebo zupełnie wyjaśnione, lub gdy jednostajne chmury go kryją, gdy powietrznię przerzynają rozmaite prądy, w innym kierunku u dołu, w innym u góry, w innym pośrodku? Ani prądów tych zbadać niepodobna, ani oznaczyć szlaków, którymi się wędrówka odbywa, a nawet wobec dostrzegalnych prądów rozmaitych, czyż podobna zawsze ocenić, w jakim prądzie wędrówka ta postępuje? Istny chaos, istny labirynt samych trudności, które nie tak prędko jeszcze zgłębi badawczy umysł człowieka.

Co wiem w tym przedmiocie pewnego, to wszystko poparte jest żmudnem doświadczeniem na ptakach nisko wędrujących, w prądach, które na pewno rozpoznać mogłem, a spostrzeżenia te nie dozwalają mi przychylić się do uznania dogmatu, że ptaki pod wiatr wędrują.

W obec wielu skonstatowanych wypadków, iż wiatr południowy lub południowo-zachodni sprowadza nam rozmaite gatunki ptactwa i przeciwnie, zachodzi znów pytanie, czy ptaki te wędrują przy wiatrach tych dlatego, że im z tem do lotu wygodniej, czy też może ocieplanie się powietrza lub oziębianie się tegoż w obec wspomnianych wiatrów nie sprowadza tych objawów? Czy wiatr jest rzeczą dla lotu obojętną i czy nie rozstrzyga tu przeważnie sama temperatura powietrza?

Wszystkie spostrzeżenia, tyczące się wpływu wiatru i temperatury, mogą być zatem daleko skuteczniej i na wielką skalę czynione tam, gdzie daleko większa ilość różnorodnego ptactwa daje się obserwować, i gdzie bliskość morza ustala więcej podniebie i kierunek wiatrów. Takimi krajami dla Europy są wybrzeża morza Bałtyckiego, Niemieckiego a w szczególności wyspa Helgoland i cały szereg drobnych wysp Fryzyjskich, tych uprzywilejowanych stacyj wędrujących ptaków.

Nasz klimat kontynentalny, ze swoimi gwałtownymi zmianami, utrudnia nadzwyczaj obserwacyę i nie zachęca wielu do badania wędrówki ptaków. Jeżeli zatem naprowadzam tu zdania i wyniki badań znakomitych na tem polu badaczy z okolic wzmiankowanych, to czynię to nie dlatego, iż zgadzają się one poniekąd z moją, choć zbyt skromną w tym zakresie wiedzą, lecz z przyczyny, iż właśnie pochodzą z owych miejscowości i prędzej jakąś pozytywną wiedzę w tym kierunku ugruntować mogą, a wreszcie, iż są to spostrzeżenia badaczy, którzy tylko po żmudnem zebraniu faktów zwykli swe zdania wygłaszać.

Gdybym w podaniach ścisłych badaczy znalazł nawet materyał, sprzeciwiający się zupełnie moim dotychczasowym, może zbyt szczupłym doświadczeniom, nie omieszkałbym go tutaj naprowadzić. Nie ubliżałoby mi to wcale, gdyż zbyt

często *vota separata* jeżeli tylko z przekonania płyną, otwierają nowe pola badaniom, które wreszcie doprowadzają do ostatecznego celu wszystkich naszych usiłowań, do poznania prawdy w przyrodzie, pomimo, iż wywołują na razie uśmiech politowania, jeżeli stoją w sprzeczności ze zdaniem znanych powag.

W chwili obecnej, gdy już mam pod ręką materyały gotowe, nagromadzone przez starszych i znakomitych badaczy, mogę tylko na mocy własnego doświadczenia, nabytego w naszym kraju, przychylić się do zdania tych, którzy pierwsi ogłosili spostrzeżenia swe, wykazujące mylność utartych frazesów. Że zaś rozmiary rozprawy niniejszej nie dozwalają mi cytować specyalne i bardzo ciekawe spostrzeżenia, muszę się tedy ograniczyć na przytoczeniu zdań ogólnych tych badaczy, którzy gruntują je na podstawie dokładnych spostrzeżeń.

(Dok. nast.)

Polowanie na gołębie na Krasie.

(Podał Schollmayer z Masan w „Waidmannsheil“.)

W rozległych lasach Krasu i na skrajach tychże przebywają rozmaite gatunki gołębi, częścią jako ptaki miejscowe, częścią jako przelotne. Znajdują one tam pożywienie i stosowne miejsce do pieleszy, w ogóle cieniste gaje i krzaki, w których się gnieżdżą. Tylko brak wody w niektórych miejscach przeszkadza nieco swobodnemu rozmnażaniu się tego ptactwa.

Gołąb grzywacz *(Columba palumbus)* należy do ptaków tutaj stale się gnieżdżących, również gołąb hurkot *(C. oenas)* i turkawka *(T rtur vulgaris)*, chociaż te dwa ostatnie nie tak często jak gołąb grzywacz.

Sposób polowania na te trzy odmiany gołębi jest powszechnie znany. Strzelają je tu mianowicie na ciągu lub na wabika.

Czwarty rodzaj, gołąb skalny *(Columba livia)*, od którego gołąb domowy pochodzi, należy do tych, na które myśliwi najchętniej polują. Zamieszkuje on szczeliny i groty na całym Krasie, a zapędza się nawet w głąb Grecyi.

Opisywano już nieraz polowania na te ptaki, tak, jak się one w Dalmacyi i Grecyi odbywają. Jeżeli myśliwy, chcąc polować na gołębie, ukryje się nad jakiemś źródłem lub strumykiem, to może strzelać gołębie, gdy wylatują z groty lub do niej wracają. Ponieważ zaś gołąb zwykle o tym samym czasie wylatuje i wraca, można więc to oczekiwanie do stosunkowo bardzo krótkiego czasu ograniczyć, i nie potrzeba całymi dniami obok groty wysiadywać. Jeżeli zaś w okolicy znajduje się słona woda lub słona ziemia gliniasta, to można tam wynaleść nieomylne stanowiska myśliwskie na gołębie, ponieważ ptak ten, nawet niepokojony przez myśliwego, chętnie do tych miejsc powraca. Jest to bowiem właściwością wszystkich odmian gołębi, że namiętnie sól lubią.

W Austryi górnej, po prawej stronie doliny Gosau, która należy do Halstadzkiego Salzbergu, znajdują się słone źródła, przy których zawsze gołębie grzywacze spotkać i ubić można.

W okolicy mego mieszkania znajduje się kilka szczelin, zamieszkałych przez gołębie. Są to prostopadle w głąb góry wcinające się czeluście, o stosunkowo wielkiej głębokości, a wnętrze ich prawie niedostępne. Szczeliny te są miejscem schronienia i pieleszy dla gołębi skalnych, które u nas zimą i latem przebywają. Jeden z tych otworów mniej więcej tak jest położony, że myśliwy dostatecznie osłoniony i zakryty, może stać na stanowisku. Wszystkie inne są zanadto otwarte, co najwięcej karłowatym jałowcem otoczone, i znajdują się na stokach górskich lub w głębi dolin.

Niepodobna tu więc wyszukać tak dogodnego stanowiska, jak w Dalmacyi. Wprawdzie próbowałem nieraz szczęścia, lecz nie dopisało, gdyż gołębie kazały nieraz na siebie aż do późnego zmierzchu czekać, aby potem z szybkością błyskawiczną zniknąć w ciemnej czeluści. Często też za dnia zasiadałem, aby strzelać do wylatujących gołębi — lecz nadaremnie; żaden się nie pojawił. Często wśród ciemnej nocy słyszałem ich gruchanie i uderzanie skrzydłami nie mogły być wtedy dalej odemnie jak na cztery metry, gdzieś wśród skał; próbowałem rzucać kamieniami, by je ze siedlisk ich wypłoszyć, lecz wówczas posuwały się tylko niżej, na bardziej bezpieczne miejsca, ale ani jeden z szczeliny nie wyleciał. Nie dość na tem; nawet strzał w otwór czeluści nie zdołał ich wyruszyć z tego bezpiecznego schronienia, tak dobrze znają wartość swoich obronnych twierdz.

Po jakimś czasie, widząc, że z fuzyą w ręku niczego nie dokażę, postanowiłem łowić je w sieci. Zamówiłem więc u znanej firmy kupieckiej H. Bluma w Bawaryi silną sieć o powierzchni 16 m². Siatka ta składała się z trzech oddzielnych siatek. Górna miała oczka wielkości 14 × 14 cm., następna 7 × 7 cm., ostatnia zaś 3,5 × 3,5 cm. Barwa tych sieci była zupełnie tak ciemna jak barwa ziemi. Jeżeli się górną zupełnie napięło, to dwie ostatnie musiały pozostać stosownie pofałdowane. Haftki i kołki do niej są z twardego drzewa, sznurki mocne i dobrze kręcone.

Przy częstem i dokładnem badaniu można poznać w przybliżeniu ilość gołębi, zamieszkujących jednę szczelinę, oraz zupełnie dokładnie zbadać czas ich wylotu.

W powyższym wypadku uznałem godzinę trzecią popołudniu za najstosowniejszą do nastawiania sieci. W tym bowiem czasie gołębie, zamieszkujące jednę czeluść, prawie wszystkie znajdują się daleko w polu, poszukując za żerem i za wodą, przeto zupełnie bezpiecznie sieć w otworze czeluści rozpiąć można. Robota to dość niebezpieczna, wymaga wiele ostrożności i pewności stopy ze strony łowca, gdyż łatwo mógłby wpaść do czeluści, zkąd powrót nie możliwy — chyba trupem.

Niedługo po godzinie trzeciej gołębie powracają, by jeszcze w pobliżu swego mieszkania pobujać i poswawolić

w locie. Całymi gromadami przelatują też nad otworem szczeliny, wzbijają się pod niebiosy, i klaskając skrzydłami wyprawiają w powietrzu najpiękniejsze zwroty, by znowu za chwilę wśród szczytów górskich zniknąć. Drapieżne ptaki zdają się tylko czekać tej chwili, gdyż często się zdarza, że jakiś upierzony drapieżca zjawi się nagle wśród wesołej gromady, która na jego widok rozprasza się na wszystkie strony. Wśród zajadłego pościgu nie zwraca on często nawet uwagi na myśliwego, który też nieraz zasłużoną nagrodę z dwururki mu posyła.

Po niedługiej chwili gołębie zgromadzają się powtórnie i przy zachodzie słońca z szybkością strzały spadają do swej czeluści. Przednie szeregi całego stada wpadają z przytulonemi do ciała skrzydłami przez pierwszą sieć, przedostają się często i przez drugą, i dopiero tu zawisają, nie mogąc się wydostać i gwałtownie trzepocząc skrzydłami. Wówczas reszta gołębi, prędzej niż się to da wypowiedzieć, zawraca w locie i wzbija się wysoko w powietrze.

Teraz rozchodzi się o to, aby schwytane gołębie wydobyć jak najprędzej z sieci i tę napowrót rozpiąć, gdyż reszta ptaków, z powodu szybko zapadającego zmroku, niedługo znowu powraca. Ostrożniej niż przedtem zbliżają się one do swego mieszkania, ale, mimo całej przezorności, najczęściej ciemno zabarwionej sieci dojrzeć nie mogą. Drugi raz przeto natrafiają na przeszkodę u wchodu do swego mieszkania, kilka z nich znowu pozostaje w sidłach, a reszta umyka i szuka sobie już innego schronienia na nocleg.

Liczbę gołębi, mieszkających w jednej szczelinie, należy już wprzód dokładnie zbadać, by się przekonać, czy można w ogóle w jednym i tym samym roku sieć na nie po raz drugi zastawiać. W takim wypadku można po jakim tygodniu znowu na nie w powyższy sposób zapolować, gdyż gołębie najczęściej już nazajutrz zapominają o doznanej trwodze, i chętnie, chociaż z pewnymi ostrożnościami, wracają do swego dawnego mieszkania. Jednakowoż nie należy sieci zbyt często nastawiać, ażeby sobie łowów w danej czeluści raz na zawsze nie zepsuć.

Powyższy sposób łowienia gołębi nie jest wcale nowym. Jeszcze przed 200 laty — jak o tem świadczy kronikarz Valvasor — wieśniacy okoliczni podobnie na nie polowali. Od dłuższego jednak czasu łowy te poszły w zapomnienie i nie wiem, czy je dziś gdzie na Krasie praktykują. W każdym razie polowanie takie się opłaca, gdyż nie wiele czasu zabiera, a zawsze prawie pomyślnym uwieńczone skutkiem.

Należy w końcu wspomnieć o odmianach ubarwienia gołębia skalnego. Szczególnie grzbiet i skrzydła tego ptaka zamiast jednobarwne, są częstokroć niebieskawej barwy ziarn makowych, czarno nakrapiane. Wszystkie gołębie wogóle farbują dłoń, gdy je chwycić, gdyż cały ptak jest jakby upudrowany białym pyłem wapiennym.

Przełożył *J. St.*

Walki zwierząt w Indyach.

(Opowiadanie hr. Goblet d'Alviale z dzieła „Inde & Himalaya").

Udałem się na widowisko walki zwierząt do Baroda, tj. do miejscowości, która pod tym względem najlepszej używa sławy. Arenę tworzył prostokątny plac na 300 stóp długi a na 100 szeroki, zagłębiony i murem na kilka metrów wysokim obwiedziony. W murze tym znajdywały się otwory, dostatecznie duże, ażeby przez nie człowiek mógł się prześliznąć, lecz za małe dla większych zwierząt. Trzy boki areny przeznaczone były dla widzów, rekrutujących się z krajowców, po czwartej stronie wznosił się pawilon guikowara, jego orszaku i gości. Naprzeciw wchodu do areny widać było zamknięte wrota, z poza których dochodził ryk dzikich bestyj.

Zbliżywszy się ku arenie, ujrzałem dwa do murów przywiązane, potężnymi kłami odznaczające się słonie, które bezustannie z nogi na nogę następowały. Znać było na nich niezwykłe podniecenie. Małe oczy iskrzyły się, uszy były w ciągłym ruchu, a czasami chwytał ten lub ów słoń proch z areny trąbą i dmuchał nim w powietrze. Tuż nad areną, na szerokim murze leżały, kuczały lub stały w pełnem słońcu liczne postacie miejscowej ludności w barwnych turbanach. Cisnął się szereg za szeregiem. Ci, co byli w ostatnich szeregach, poznosili najrozmaitsze sprzęty, a wylazłszy na nie, starali się ponad głowy pierwszych szeregów jeszcze coś zobaczyć. Na tle tego obrazu ukazywały się, jak dekoracya, lasy palmowe, stawy, ogrody i wzgórza, lekką mgłą okryte.

Zdawało mi się, że biorę udział w jednem z owych okrótnych widowisk, które za czasów cezarów w Małej Azyi urządzano, że za chwilę wstanie konsul i da znak, aby wprowadzono chrześcijan i rzucono je rozżartym potworom. Lecz młody cezar z Barody nie wyprowadza chrześcijan, nawet nie posyła gladiatorów, tylko zwyczajnych zapaśników. Sześć par atletów, których całem ubraniem były trzewiki, wystąpiło na scenę, rzucili się na siebie na wzór atletów europejskich i mocowali się około 15 minut. Gdyby grała muzyka, wydawałoby się, że jesteśmy w europejskim cyrku.

Ale teraz następuje kolej na słonie. Dwa spuszczone z łańcuchów potwory obchodzą się, szukają stosownej chwili i rzucają się wreszcie na siebie. Kły zahaczają się wzajemnie, trąby splatają się w strasznym uścisku, cielska uderzają o siebie. Nagle jeden ze słoni zwraca się do ucieczki. Przeciwnik goni za nim, dopada go, uderza olbrzymimi kłami i z taką siłą przypiera do muru, że zwyciężony wydaje ze siebie przeraźliwy krzyk bolu. W tej chwili rzuca się służba i rozdziela zapaśników. Następnie usiłują pikaderosy pobudzić słonie do nowej walki, kłując je długimi lancami — lecz nadaremnie. Wojownicze usposobienie opuściło zapaśników zupełnie. Zarzucają im przeto lasso na jedną z tylnych nóg i biorą ponownie na łańcuchy, przymocowane do murów areny.

Wprowadzają innego słonia na scenę. Jest on mniejszy ale ruchliwszy. Z innych wrót wypada jeździec na małym

ale nadzwyczaj ognistym koniku. Okrąża on kilka razy słonia, wreszcie najeżdża go, a słoń przyjmuje walkę i rzuca się na przeciwnika. Wtedy jeździec unika zręcznie uderzenia i umyka w pełnym galopie. Mimo to trąba słonia dosięgła zadu końskiego i skaleczyła go. Słoń spostrzega wszakże, iż co do szybkości, nie może iść z koniem w zawody, ucieka się zatem do podstępu. Staje tyłem, udając, że nie widzi jeźdzca, który go kłuje, lecz niespodzianie zwraca się ku niemu trąbą i kłami. I tym razem wszakże czyni to nadaremnie, bo szybki jak strzała konik i teraz zdołał mu się wymknąć. Na tem skończyły się ich zapasy.

Wtem zabrzęczały łańcuchy i ukazały się dwa nosorożce, obrzydliwe gruboskóre zwierzęta z krótkimi rogami na głowach. Przednie ich łapy są łańcuchami spętane. Zwierzę to należy do najdzikszych, lecz oraz do najgłupszych. Można więc było przypuszczać, że rozpocznie się przerażająca walka. Lecz gdzie tam! Nosorożce spoglądają na siebie, lecz opierają się wszelkim podniecaniom do walki. Zdaje się, że nawet i te zwierzęta są czasem roztropniejsze od ludzi. Nareszcie kłucia lancami i sikania wodą było im już za wiele, więc rzuciły się na siebie. Walczyły ze spuszczonymi aż do ziemi głowami, uderzając rogiem o róg. Lecz nie zrobiły sobie wiele szkody i po kilku wzajemnych uderzeniach walka została zakończoną.

Miejsce nosorożców zajęły dwa bawoły z zakręconymi w tył rogami. Wpadły one natychmiast na siebie, i bój toczył się tym razem na prawdę. Była chwila, iż się zdawało, że jeden z bawołów chciał się wymknąć, że zatem i ta walka spełznie na niczem, ale podejrzywany o ucieczkę zapaśnik zawrócił natychmiast i wpadł na swego przeciwnika tak gwałtownie, że aż się rozległ suchy łoskot uderzających o siebie rogów. Wreszcie jeden z bawołów padł, przeszyty z boku rogami przeciwnika; mimo to zerwał się i chciał dalej bój toczyć, gdy wtem służba rozdzieliła zaciekłe zwierzęta.

Nastąpiła potem walka baranów, a siła i precyzya, z jaką te zwierzęta, wpadając na siebie, uderzały głowami i łoskot, jaki przytem rogi ich wydawały, były dostatecznem wyjaśnieniem, dlaczego przyrządy starożytnych do rozbijania murów fortecznych baranami zowiono.

Przedstawienie rozpoczęto, jak widzimy, od największych potworów zwierzęcych, a następnie wprowadzono coraz mniejsze do walki. W końcu wpuszczono do cyrku ogromną ilość papug, które na siebie uderzały. Chciano prawdopodobnie widokiem tych pięknych stworzeń złagodzić grozę pierwszych zapasów.

Następnego dnia brałem udział w polowaniu z panterami, t. j. w takiem polowaniu, gdzie pantery nie były przedmiotem łowów, lecz łowcom szły w pomoc. Łowy te odbywały się niedaleko Barody w pobliżu zamku królowej matki. Oczekiwał nas tam z tuzin zamkniętych powozów, zaprzężonych wołami. Wsiedliśmy po trzech do powozu. Gdyśmy już w polu stanęli, podzieliliśmy się na dwa oddziały, a przy każdym oddziale znajdowały się dwa wozy z panterami, których oczy starannie były pozawiązywane. Po kilkunastu minutach ujrzeliśmy w wysokiej trawie stado liczące 200 do 300 danieli; te, nie podejrzywając nas o złe zamiary, powoli się podnosiły i oddalały. Gdyśmy jednak coraz bliżej podchodzili, zaczęły się daniele niepokoić i wkrótce rozbiegły się, tworząc długi szereg. Strategia nasza polegała teraz na tem, ażeby ów szereg przerwać i jedno skrzydło armii od głównego korpusu odciąć. W tej chwili otworzono wozy z panterami i zdjęto im z ócz przewiązki. Drapieżce te zeskoczyły na ziemię, a gdy wzrok ich uderzony został widokiem przebiegających danieli, każda pantera upatrzyła swoją ofiarę i w kilku olbrzymich skokach chwyciła ją — przewróciła i zadusiła. Tejże samej chwili przypadali dozorcy polowania, wydzierali zdobycz panterze i zawiązywali jej ponownie oczy. Złowione daniele patroszono natychmiast, co ze względu na klimat gorący jest niezbędne, a przytem zbierano krew do naczyń i dawano ją panterom chłeptać. Gdyśmy po trzech godzinach wrócili z polowania, leżało na rozkładzie sześć danieli z poprzegryzanymi gardzielami.

Łowy te były bardzo zajmujące, nietylko ze względu na emocyę, jaką mi sprawiły, ale także na urok całej okolicy, która im za tło służyła. Proszę sobie pomyśleć, łowy na nieprzejrzanych równinach Indyj wschodnich, myśliwych, konie, wielbłądy i słonie wyprawy łowieckiej w cieniu palm, różnobarwną eskortę krajowców, a na czele pochodu jeźdzców w pysznych oryentalnych kostiumach... Łatwo pojąć, że obraz taki na długo musiał mi utkwić w pamięci.

KORESPONDENCYE.

Bołszowce dnia 18. września.

(Zbyteczna gorliwość żandarma i peregrynacya dubeltówki).

Czytając z przyjemnością w *Łowcu* sprawozdania z różnych polowań na grubszą zwierzynę, nie natrafiam nigdzie na sprawozdanie z polowań na błotach, podług mnie o wiele przyjemniejszych od pierwszego. Bo czyż może być większa rozkosz, jak polowanie na dobrych błotach, z dobrym psem i dobrą strzelbą! Zresztą, *de gustibus non est disputandum...*

Otóż ja będę pierwszym, opisując moje polowanie tegoroczne na błotach, lecz nie ze względu na ilość ubitych dubeltów i krzyków, (bo tych ledwie 6 do 8 sztuk można było na parogodzinnem polowaniu znaleść), lecz ze względu na nieprzyjemne zdarzenie, jakie mnie na tem polowaniu spotkało, a które szanownym towarzyszom po św. Hubercie dla przestrogi podaję.

W tym roku, przy tak nadzwyczajnie małej ilości ptactwa błotnego, urządziłem sobie (oprócz mego psa ze słabym wiatrem), polowanie ze sznurem, którego jeden koniec mój służący, a drugi, mały chłopiec ciągnął, ja zaś środkiem szedłem i strzelałem.

Mam zwyczaj, polując blisko domu, obchodzić się z jedną strzelbą, abym na wypadek zepsucia się tejże, mógł w krótkim czasie drugą strzelbę z domu przynieść kazać; lecz gdy się oddalam od domu, biorę zawsze drugą strzelbę od przypadku. I tą razą, na początku sierpnia, polując na łące w Medusze, do innego powiatu należącej (Stanisławo-

wskiego), gdzie mam wolność polowania, wziąłem drugą strzelbę, którą służący za mną nosił.

Tak polując o paręset kroków od gościńca Halickiego, spostrzegłem, jak żandarm zwrócił od tegoż gościńca i prosto ku mnie się zbliża. Mając kartę na broń przy sobie, zwolniłem kroku, aby się go prędzej pozbyć. Żandarm ów, (zastępca komendanta posterunku Halickiego), zbliżywszy się, zażądał okazania karty na broń, a gdy mu takową okazałem, odczytał, że opiewa na 5 dubeltówek. Nie zadowolnił się jednak tem, lecz zażądał jeszcze drugiej karty na strzelbę, którą nosił służący.

— To jest mój służący — rzekłem — i nosi moją drugą strzelbę od przypadku, wszak mam prawo posiadania i używania aż pięciu sztuk.

— Ależ, bo ten służący nosi tak strzelbę, jakby miał zamiar strzelać — powiada żandarm.

— To się panu żandarmowi tak zdaje, ale ja ręczę, że on wcale o tem nie myśli, bo nie wiem, czy ja sam ze sześć razy będę miał sposobność wystrzelić.

Na dowód, że służący nie strzela, okazałem rurki czyste, jak zwierciadło.

— A dlaczegoż pan chłopcu nie każesz nosić strzelbę? — zarzucił żandarm.

— A czyż pan sam nie umiesz sobie wytłumaczyć — odwiadam — że mojej strzelby kosztownej nie powierzyłbym tak małemu chłopcu, zwłaszcza mając służącego pod ręką.

Lecz nic to nie pomogło. Pan żandarm zażądał w imieniu prawa oddania strzelby i zabrał ją...

Osłupiałem! Więcej niż 50 lat poluję w ten sposób, a nigdy podobnego wypadku ze strażą bezpieczeństwa nie doznałem! Cóż u licha wykroczyłem takiego? Czyliż było tu wykroczenie przeciwko bezpieczeństwu publicznemu, lub zagrażało wyrządzeniem komuś szkody? Nie! ani jedno ani drugie! Wszak ów żandarm, odczytawszy moją kartę na broń, przekonał się, że mając prawo posiadania aż pięciu sztuk broni, nie jestem kłusownikiem, a przecież mi dubeltówkę zagrabił.

Dowiedziawszy się po kilku dniach, że zagrabione strzelby składają się w starostwie, zrobiłem podanie do Stanisławowskiego starostwa, prosząc o zwrot mojej zagrabionej. Nie otrzymawszy dłuższy czas odpowiedzi, odniosłem się do c. k. krajowej komendy żandarmeryi opisując cały fakt, i prosiłem, oprócz oddania strzelby, o udzielenie nagany panu zastępcy komendanta posterunku Halickiego za nieprawne zagrabienie.

W parę tygodni później zjawia się u mnie wójt z Meduchy i opowiada, że żandarm ów z Halicza, zabrawszy moją strzelbę, zostawił ją u niego. Nikt się po nią nie zgłasza i on nie wie, co ma z nią robić. Napisałem więc jeszcze do oddziału c. k. żandarmeryi w Stanisławowie prosząc o jak najrychlejsze oddanie mi strzelby i nadmieniając, że ów komendant posterunku Halickiego nie wie nietylko komu i i kiedy ma broń odbierać, ale i nie wie, jak ma sobie z odebraną postąpić; strzelba bowiem moja, zagrabiona przez niego, dotąd leży u wójta w Medusze, który do mnie przyszedł z zapytaniem, co ma z nią robić.

Dopiero po tem ostatniem mojem podaniu do oddziału c. k. żandarmeryi w Stanisławowie, odebrałem moją dubeltówkę z poczty, przysłaną przez starostwo Stanisławowskie, w najlichszym stanie, zardzewiałą, strzelaną i z popsutym zamkiem. Równocześnie ze strzelbą, odebrałem także rezolucyę na moje podanie do c. k. krajowej komendy w tym sensie, że żandarm Halicki tak z odebraniem strzelby, jak i złożeniem jej u wójta, prawnie sobie postąpił. Podług tej rezolucyi musielibyśmy i dla naszych służących, którzy nam strzelby noszą, karty na broń wyrabiać. Przez długie lata mego zawodu myśliwskiego pierwszy raz coś podobnego słyszę, a ponieważ chodzi o zasadę, postanowiłem udać się jeszcze wyżej o rozstrzygnięcie tej kwestyi dla myśliwych żywotnej.

Ezechiel Berzeviczy.

W y ż k ó w (powiat Doliński) we wrześniu

(Polowania gminne.)

Polowań gminnych w naszym powiecie, szczególniej w głębi gór od granicy węgierskiej, pomimo iż są bogate w zwierzynę, nikt nie wydzierzawia. To też kłusownicy rozwielmożniają się tu nie do opisania, a niektórzy uważają nawet polowania na terytoryach gminnych wprost za swoją własność.

W naszych lasach, należących do bar. Poppera, prowadzi się polowanie na rzecz skarbu, ale wszelkie racyonalne urządzenie łowiectwa i ochrona zwierzyny są prawie niemożliwe, właśnie dlatego, iż polowań gminnych nikt nie wydzierzawia, i że zwierzynę, przechodzącą na terytorya gminne, morduje kto i kiedy zechce. Skonstatowanie nawet kradzieży zwierzyny jest niepodobne, bo gdy się kłusownika ze zdobyczą uchwyci, oświadcza, że ubił ją na gminnem, a jeśli nie jest przychwycony wprost przy strzelaniu, nikt mu nie może udowodnić, że jest inaczej. Cóż dziwnego, że dziś trzeba tu ze świecą zająca szukać. Jeżów mamy mnóstwo, lecz i te wyłapują. Wilków nie ma, chociaż przed laty dawały się mieszkańcom tutejszym we znaki.

Dzików mamy zato setkami, a chociaż niszczy je kto zechce, uszczerbku w nich nie znać. Pewien uprzywilejowany, bo stanowiskiem leśnej służby osłonięty kłusownik, — który, jak sam się przyznaje, jeszcze przed czterma laty, 160 zajęcy w jednym roku ubił — wyprawił się był także przed kilkunastu dniami z bratem swym, gminnym pobereżnikiem, na dziki. Ubili dwa warchlaki, dwa inne chwyciły psy żywcem. Z tych pochwyconych jeden uciekł, drugi zaś oswoił się i ze swojskimi świniami chodzi po pastwisku. Później nieco ubili obaj ci bracia kolosalną maciorę, a innym razem niedźwiedzia. Ile zaś padło jeleni i łani, w czasie ustawą nakazanej ochrony, któżby się kiedy dowiedział?

Kłusownictwo w naszych pięknych, górskich kniejach tylko wtedy mogłoby zostać poskromione, gdyby ktoś z zamiłowanych łowców wynajął gminne polowania i energicznie kłusowników prześladował.

Hipolit Sozański.

Sprawozdania łowieckie.

— W O l e s z y c a c h, majątku moim, od d. 1. lipca 1889 do 1. lipca 1890 ubito: dzików 5, rogaczy 15, zajęcy 43, przepiórek 30, słonek 5, lisów 22, borsuków 10; wałęsających się psów 87, kotów 141, kun 3, łasic 11, jastrzębi 112, wron 139, srok 3.

Z powodu systematycznego tępienia szkodników stan w porównaniu z rokiem przeszłym znacznie lepszy.

W. Sapieha.

KRONIKA.

†
Aleksander Cholewa Ubysz

b. właściciel dóbr, oficer wojsk polskich w r. 1863, a długoletni nasz współpracownik, zmarł d. 11. września, przeżywszy lat 58.

Świat łowiecki i przyrodnicy utracili w zmarłym jednego z najgorętszych miłośników przyrody i myśliwstwa. literatura łowiecka pisarza, wyposażonego taką bystrością spostrzegawczą i takim darem obrazowania i charakteryzowania tego, co widział. że nie wnet znajdzie się następca, któryby z równym talentem mógł władać piórem, co wypadło z martwej dłoni śp. Ubysza.

Wszystko niemal, co śp. Aleksander napisał, znalazło miejsce w „Łowcu", a długoletni czytelnicy naszego pisma zawdzięczają mu niejedną miłą chwilę, gdyż razem z nim patrzyli się niejako na różne okolice kraju naszego, na udatne sylwetki zwierząt łownych, na te żywe typy, które gromadziło i gromadzi około siebie życie łowieckie. Niejedno wyrażenie, przejęte od starych myśliwych lub podsłuchane z ust ludu, zawdzięcza mu swe uprawnienie w języku piśmiennym i wzbogaciło obfitą naszą nomenklaturę łowiecką.

Jakgdyby w przeczuciu rychłego zgonu, podała przyjacielska ręka niektóre szczegóły z życia śp. Aleksandra w korespondencyi, którąśmy w nr. 8 „Łowca" zamieścili. Przypomniała ona również najcelniejsze utwory zmarłego i skreśliła trafną ich charakterystykę.

Śp. Aleksander pisał do ostatniej chwili, a ciężka choroba piersiowa nie mąciła ani pamięci, ani wyobraźni, lecz owszem zdawała się talent jego potęgować. Z czasu tego pochodzi obszerniejszy, a znany naszym czytelnikom obrazek „Marcinek", w którym autor stanął może najwyżej pod względem spokoju a siły i barwności w malowaniu szczegółów i całości minionych już obrazów naszego życia wiejskiego. W dzisiejszym numerze podajemy drobniejszy szkic, ostatnią pracę zmarłego, opartą na własnem wspomnieniu. Zaczął pisać jeszcze jedną dłuższą rzecz, „Na kapitanówce" — lecz już jej skończyć nie zdołał...

Rzucamy więc kwiat niezagasłej pamięci na mogiłę wiernego i dzielnego druha...

O galicyjskim dziale łowieckim na wystawie wiedeńskiej wyraziło się wiele pism wiedeńskich z gorącymi pochwałami. Wrześniowy numer fachowego organu wielu towarzystw łowieckich: *Mittheilungen des n. ö. Jagdschutz-Vereines*, zamieszcza także bardzo szczegółowy i pochlebny opis przedmiotów, wystawionych z Galicyi, a zbiór hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego zowie wprost jednym „z najświetniejszych na całej wystawie, a tak malowniczo i przyciągająco urządzonym, że dla oka, znużonego widokiem setek i setek rogów, staje się ta grupa wielce pożądanym punktem spoczynku".

Ze stosunków myśliwskich w Królestwie Polskiem podają pisma warszawskie następujący, wcale nieszczególny obrazek. D. 10. września gromada kłusowników, złożona z jedenastu włościan ze Rzgowa i Świątnik, (w Kaliskiem) zebrała się wieczorem w lasach biskupickich, należących do p. Taczanowskiego, i rozpoczęła formalną obławę. Na wieść o tem pospieszyli do lasu podleśny Kotecki z 6 gajowymi i zażądali od nieprawnych myśliwych broni i zabitej przez nich zwierzyny. W odpowiedzi na to kłusownicy, rozrzuceni poprzednio, na dany znak przez jednego z nich, zebrali się w gromadę i przywitali ogniem służbę leśną. Po pierwszych strzałach padł Kotecki raniony w nogę i dwóch gajowych. postrzelonych grubym śrótem. Pozostali, widząc przeważającą siłę napastników, gotujących się do ponowienia strzałów, cofnęli się z lasu, unosząc ze sobą ranionych.

Niezwykłą mnogością wilków zastraszona jest tego roku ludność w okolicach Mińska. Krążą tysiące bajek i przerażających opowiadań o porywaniu dzieci, nawet starszych, a zaręczają o prawdziwości faktu następującego: O kilka mil od Mińska, w stronie traktu Dołhinowskiego, wilk rzeczywiście porwał z pola 2-letnie dziecko, którego matka żęła w pobliżu z innemi kobietami. Spostrzegli to niedaleko znajdujący się kosarze i rzucili się w trop za wilkiem do lasu. Po długich poszukiwaniach znaleziono wśród wywróconych pni gniazdo wilcze. Znajdowało się w niem porwane dziecię, całe i zdrowe, otoczone wilczętami. Te ostatnie skubały wprawdzie na wszystkie strony przerażoną dziecinę, ale nie mając jeszcze zębów, żadnej szkody uczynić jej nie mogły. Stare zaś wilki zemknęły na odgłos krzyków i kroków ludzkich. Odwieziono do domu uratowane dziecko, a wraz z niem zabrano wilczęta. Myśliwi niektórzy twierdzą, iż fakt znajdowania w gniazdach wilczych żywych ofiar zdarza się nieraz, gdyż stare zaprawiają tym sposobem do polowania i krwiożerczości młode swe pokolenie.

Jeleń kopalny. P. Karol Drymmer, podczas tegorocznej wycieczki w pow. sieradzkim, otrzymał od p. Bolesława Droszewskiego z Ralewic róg jelenia kopalnego (Cervus elaphus fossilis). Róg ten, jak donosi *Wszechświat*, znaleziony został w Ralewicach. Na wiosnę r. b. silny prąd wody wyżłobił tam w piasczystem dnie koryta rzeczki Szadkówki dół na dwa łokcie głęboki, w którym po opadnięciu wody znaleziono róg jelenia, złamany na trzy kawałki. Róg to gruby, krępy i mocno rozgałęziony. Długość jego wynosi 83 cm., całych odnóg posiada siedm, tudzież dwie obłamane. Pierwsza gałązka wyrosła bardzo blisko nasady i ma 30 cm. długości, druga 25 cm., trzecia, odłamana od rogu, 43 cm., czwarta 31 cm., piąta odłamana, szósta 15 cm., siódma, na 12 cm. długa, jest na końcu rozwidlona Na końcach dłuższych gałązek widać ślady krajania.

Niedźwiedzie w znacznej liczbie pojawiły się w Tyrolu południowym i robią dużo szkody. D. 8. września rzuciła się para tych rzadkich gości na trzodę kóz, pasących się na górze Ben i zapędziła ją nad urwisko, z którego przelęknione kozy wszystkie pospadały na dół i pozabijały się na śmierć. Jednego niedźwiedzia zabił książę Molfelta. Niedźwiedzicę z dwoma młodymi widzieli w kilka dni później pastuchy w pobliżu wsi Bocca di Brenta. W górach pomiędzy ludnością panuje z tego powodu wielkie przerażenie.

O niezwykłym napadzie niedźwiedzicy donoszą z Bułgaryi. W pierwszych dniach sierpnia żęli ludzie na polach wsi Swietowraczany. Wtem, bez wszelkiego ryczenia czy mruczenia, wypadła niedźwiedzica ze stojącego jeszcze wysokiego zboża i rzuciła się na jednego z żeńców. Inni robotnicy umknęli. Uderzeniem łapy, zdarła niedźwiedzica napadniętemu prawy policzek, drugiem przewróciła go, kalecząc ciężko klatkę piersiową, poczem umknęła napowrót w zboże. Gdy inni żeńcy, uzbroiwszy się, powrócili na miejsce napadu, znaleźli już tylko pokaleczonego towarzysza. Z uwagi, iż oprócz wysokich kniei górskich, nigdzie w Bułgaryi o niedźwiedziach nie słychać, że nadto sposób napadnięcia niedrażnionej przez nikogo niedźwiedzicy nie odpowiada zwyczajom tego zwierzęcia — wypadek ten cały niemałe wywołał wrażenie.

Zkąd przyszedł do nas zwyczaj jadania gąski w dzień św. Marcina? Kwestyę tę objaśnia raptularzyk prowadzony za panowania Augusta III. znaleziony niedawno w rękopiśmie:

Marcin Luter miał być wielkim miłośnikiem rodu gęsiego, a zawsze chował u siebie liczne stado gąsek, o które się osobiście starał. Raz wyróżnił był pewną białą gąskę, a od pisklęcia tak ją do siebie przyswoił, iż biegała za nim jak piesek i na zawołanie przychodziła. Miała zawsze wstęp wolny do pana i siadywała na jego biórku, podczas kiedy pracował, za co doznawała wyróżnienia w rozmaity sposób, bo pan karmił swoją faworytkę przeróżnymi łakociami, podczas gdy jej towarzyszki żywiły się zwykłem jadłem z koryta. Z tego powodu wkradła się zazdrość do ulubionego przez reformatora stadka, i pewnego poranku towarzyszki zadziobały na śmierć gęś faworytkę. Wypadek ten miał miejsce w dzień św. Marcina, w którym Luter, zapewne pomny jeszcze tradycyi niedawno wyznawanego przez się katolicyzmu, obchodził święto swego patrona i sprosił znajomych na ucztę. Dowiedziawszy się o tej gęsiej zbrodni, kazał Luter stado całe wymordować co do nogi, a mięsem ich gości swoich uraczył. Na tę pamiątkę zwolennicy reformatora poprzysięgli zemstę gęsiemu rodowi i gęś miała się stać zwyczajowem jadłem na św. Marcina, a obyczaj ten pomiędzy wieloma innymi z Niemczech i do nas przywędrował. *Sé non è vero è ben trovato.*

Pasterz różowy *(Pastor roseus)* pojawił się był i tego lata, podobnie jak w roku zeszłym, w Bułgaryi. Przybył on tego samego dnia t. j. dnia 4. czerwca w okolice Sofii, przyleciawszy od wschodu przez Plowdiw, gdzie go już przedtem obserwowano. Około 8 kilometrów na południe od Sofii, niedaleko Kujachero, na stoku górskim, zasianym brunatno-czerwonymi, okrągławymi kamieniami, obrało sobie siedzibę kilkotysięczne stado pasterzy i gnieździło się. Życie ich było wielce ruchliwe i pełne gwaru. Jużto siedząc na kamieniach świegotały bezustannie, jużto przelatywały od kamienia do kamienia, od krzaka do krzaka. Nie okazywały się płochliwymi tak dalece, że można było do nich na pięć kroków się zbliżać. Gdy do nich strzelano, świegotały jeszcze więcej, wzbijały się, okrążały kamienisty swój stok, lecz znowu na nim siadały Podobnie jak nasz szpak, kąpały się bardzo chętnie w płynącym nieopodal potoku. A rozkosz patrzeć się na nie jak są w kąpieli, na tę ruchliwość i troskliwość, z jaką piórka swe oczyszczają, przyczem prześliczna różowa barwa ich upierzenia tem świetniej występuje. Niektóre pasterze przyłączały się także do stadek zwykłych szpaków.

Biedne pasterze nie zdołały wszakże wywieść młodych na obranem gniazdowisku bułgarskiem. Wypłoszyło je urządzenie wojskowej strzelnicy w sąsiedztwie. Po kilku dniach strzelania odleciały i już więcej nie powróciły.

Łosie są jeszcze w Norwegii zwierzyną, dość obficie się trafiającą. Wedle dat urzędownie zebranych, ubito tam w roku zeszłym 303 sztuk łosi, między tem 208 rogaczy o 14 do 24 końcach i 95 klemp. Jeden z ubitych rogaczy, przed wypatroszeniem, ważył 650 klgr.

Żubry pojawiały się jeszcze z początkiem XVIII. stulecia w lasach siedmiogrodzkich. Wedle świadectwa Aleksandra Uifalvy, jednego z najsławniejszych myśliwych z początku XVIII. stulecia, ubił ostatniego żubra na Borgojskim Płaju d. 8. października 1762 teść jego i strzelec Wołoch, Juon Gorzsa. Ubity wówczas żubr (samica), mógł mieć 10 do 12 lat i ważył 542 funtów.

Szczególny pomorek na ryby pojawił się tego lata na wybrzeżach morza Czarnego koło Noworosyjska. Brzegi tamtejszej zatoki pokrywały się co dnia całymi warstwami zdechłej drobnej rybki, którą tam „barbulką“ nazywają. Przechodząc w rozkład, zanieczyszczały te rybki całe powietrze okropnie cuchnącymi wyziewami, tak, iż władze miejscowe musiały z urzędu oczyszczanie wybrzeży nakazać. Ładowano też tę masę cuchnącą i setkami fur wywożono ją do lasu i zagrzebywano albo też palono na miejscu. A nietylko w tej zatoce; na całej blisko 300 wiorst długiej przestrzeni wybrzeży, aż do Suchum-kale, wyrzucało morze zdechłe ryby, zanieczyszczając niemi powietrze do tego stopnia, że przy wietrze południowym, daleko od morza, w głębi Kubanu, czuć było rozkładowe miazmaty. Nie zbadano dotąd, co było powodem tej nadzwyczajnej śmiertelności ryb.

Połów wielorybów. Z Islandyi donoszą, że trzy norwegskie towarzystwa, zawiązane tam celem połowu wielorybów, miały tego lata dobry połów. Wyprawione przez nie siedm parowców upolowało do spółki 120 wielorybów, które rozdzielone będą między owe kompanje w stosunku 54, 43 i 24, a każdy wieloryb przedstawia przeciętnie 1.800 koron, tj. około 650 zł. czystego zysku.

Połowem wielorybów zajmuje się także z szczególnem szczęściem Rosyanin Dydymow. Rozporządza on własnym, do łowów tego rodzaju zastósowanym parowcem i rozpoczął swą kampanię w grudniu zeszłego roku. W miesiącu tym ułowił 7 wielorybów, które w Stagasalii sprzedał. Z końcem stycznia przedsięwziął drugą wyprawę i wrócił z niej w lutym, wioząc 8 wielorybów. W marcu ubił znowu 8 sztuk, tak, iż w ciągu czterech miesięcy wynosi połów jego 23 wielorybów, z których uzyskał 528.000 funtów tranu i 6 ton fiszbinu. Za tran zapłacono mu w Japonii 25.000 rubli, za fiszbin, sprzedany do Anglii, 2.000 rubli. Po potrąceniu kosztów zarobił więc Dydymów w ciągu czterech miesięcy około 20.000 rubli.

Niezwykły czyn psa. Angielski naturalista Burlett opowiada w *Longmans-Magazine* następującą prawdziwą historyę. Dwa duże psy, nowofunlandczyk i dog, żarły się zawzięcie na mostku o kość i w zapale walki wpadły oba do głębokiej rzeki. Nowofundlanczyk wypłyną natychmiast, otrząsnął się i już chciał odejść, gdy wtem zobaczył, że dog, jakoś nieszczęśliwie upadłszy w wodę. bełta się w niej, ale nie może wypłynąć i bliski jest utonięcia. W jednej chwili nowofundlandczyk skoczył napowrót do wody, chwycił doga za naszyjnik i wywlókł go na brzeg. Oba psy popatrzyły następnie na siebie nadzwyczaj czule, obwąchały się, pokiwały ogonami i spokojnie poszły każdy w swoją stronę.

Z Texas. Z listu jednego z duchownych polskich, przebywających w Texas, w Ameryce, wyjmujemy następujący ciekawy ustęp: Dziękuję Bogu, że mi jeszcze jakoś zdrowie teraz służy, ale za to oprócz coraz większej pracy pasterskiej, coraz jest więcej kłopotów i różnych trudności. Zbudowaliśmy piękną polską szkołę, ale mamy na niej długi, a drugi rok nieurodzaju utrudnia ludziom wypłatę. Jeżdżę więc i kolektuję pomiędzy polonią, katolikami i nawet niewiernymi Amerykanami, ale w tem kolektowaniu więcej trudów niż korzyści. Tyle tylko miałem przyjemności w ostatniej wycieczce, żem kilka dni polował z Amerykanami w górach lesistych, nad rzeką Leoną. Zabiliśmy dwa krokodyle, kilka niedźwiadków wodnych, kilka jaguarów i masę dzikich indyków. Między innymi ubito dziwne stworzenie: jest to górski piesek dziki, czarny, kształtu angielskiego charta z koziemi kopytkami (?) Chociaż byłem rad widzieć z bliska to dziwne zwierzę, ale mi go było bardzo żal, bo prześliczne stworzonko. Amerykanin byłby go nie strzelił, ale chciał mi go pokazać.

Za przewodnika w tej wycieczce miałem sławnego tu złodzieja końskiego i rozbójnika, który już kilka razy łapany uciekł z więzienia. Jest to Polak, nie wiadomo jakiego nazwiska; znają go tu wszyscy pod imieniem polskiego księcia, i pewnem jest, że pochodzi z rodziny arystokratycznej. Człowiek pięknie wykształcony, miły w obejściu, posiadający wiele wiadomości i mówiący płynnie wszystkimi europejskimi językami. Nadto zagorzały patryota polski i nie z wiary, ale z patryotyzmu i przez tradycyjny Polakom do kapłanów swych stosunek, okazujący też wielką cześć księżom polskim. Uzbrojony od stóp do głowy, jeździ zawsze na pięknym koniu, zazwyczaj kradzionym. Z takim przewodnikiem byłem bezpieczny, zna on bowiem doskonale wszystkie ścieżki lasu, i od wszystkich rabusiów jest znanym. W podróży próbowałem go nawrócić, ale napróżno; przeciw wierze nic nigdy nie mówi, owszem powiada, że we wszystko z kościołem katolickim najmocniej wierzy, ale grzechów na sumieniu nie czuje i życia swojego koczująco-awanturniczego do śmierci nie zmieni. Strzelec z niego wyborny, a głosy wszystkich zwierząt naśladuje doskonale. Chcąc wystraszyć kamp indiański, począł odzywać się tak straszliwymi głosami, że ci, przesądni okropnie i przekonani, że to złe duchy, wśród nocy puścili się w dalszą drogę, on zaś najspokojniej zajął miejsce przy rozpalonem przez nich ognisku. Kiedy go raz policya po całem mieście w San-Antonio szukała, on sobie najspokojniej pod imieniem francuskiego hrabiego siedział w klubie i z urzędnikami miejskimi grał w karty.

Wszystkich pp. Delegatów gal. Towarzystwa łowieckiego i w ogóle miłośników łowiectwa upraszamy, ażeby z nadejściem sezonu polowań kniejowych raczyli nadsyłać nam szczegółowe i ile możności krytyczne sprawozdania z wyniku polowań.

Redakcya „Łowca“.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.